MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 39 WARSZAWA 11 WRZEŚNIA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

DMOWSKI O NARODZINACH EUROPEJCZYKA

W niewykończonem jeszcze dziele Romana Dmowskiego znajduje się rozdział o Grecji, jako kolebce cywilizacji europejskiej. Ogłoszono ten piękny fragment w jednym z ostatnich zeszytów miesięcznika „Polityka Narodowa”, skąd powtarzamy go w całości.

Dmowski jest w tym zarysie wielkim artystą, jednym z tych nielicznych, których widzenia godne są utrwaleń, jako syntezy, w poglądach naszych na dzieje cywilizacji europejskiej. Kilku śmiałemi rzutami myśli historiozoficznej postaciuje na przykładzie dziejów Grecji wiekuisty dramat człowieka. Cywilizacja europejska jest wypadkową zmagań się człowieka z pętami społeczeństwa, walki jego ze społeczeństwem o prawo indywidualności i odradzania się społeczeństwa przez wielką jednostkę. Oba prawa równie święte dochodzą do syntezy w cierpieniach prometeizmu. Obrazu dopełnia widok katastrof cywilizacji z powodu karłowacenia myśli prometejskiej w epimetejskim liberalizmie, niszczącym społeczeństwo taniemi zdobyczami „wolności” jednostki. Red.

I

GDY GINIE jakaś cywilizacja, nie znaczy to, żeby razem z nią znikał z powierzchni ziemi lud, który ją stworzył i żył nią przez wieki. Żyje on, czasem znacznie przerzedzony, dalej na swej ziemi i tylko dostaje obcych panów, którzy narzucają mu swój język, swe pojęcia, swe instytucje, słowem swą cywilizację, czy też wespół z nim tworzą nową, używając go za materiał do powiększenia swego społeczeństwa, lub do budowy nowego, w którym sami tworzą warstwę górną, panującą. Cywilizacja egipska dawno zginęła, ale Egipcjanie w swoich potomkach po dziś dzień żyją. Nie wytępili ich ani Persowie, ani Grecy, ani Rzymianie, ani wreszcie Arabowie. W nędznych dzisiejszych fellahach spotykamy często rysy klasycznych posągów egipskich— tylko są ubodzy i ciemni, mają niską kulturę, wyznają Islam, mówią po arabsku. Wyższe warstwy społeczeństwa są przeważnie arabskiemi z pochodzenia.

I gęsta ludność świata egejskiego nie wyginęła. Sprawcy zniszczenia jej cywilizacji nie przyszli po jej życie, ani nawet po ziemię, ale po jej bogactwo. Jedynie koczownicy greccy, posuwający się na południe w poszukiwaniu nowych siedzib, zatrzymani przez morze, zaczęli się w świecie egejskim osiedlać.

Część ludności egejskiej niewątpliwie zginęła w walkach, część zabrana przez piratów na sprzedaż, jako niewolnicy, a przeważnie niewolnice, poszukiwane pewnie dla swej piękności i elegancji, główna wszakże jej masa niezawodnie nie przestała zamieszkiwać swego kraju, tylko doznała strasznej degradacji.

Na początku wyzuto ją ze wszystkiego, co uderzało chciwe oczy napastników. Następnie łupieżcy musieli się zadawalać zdobyczą coraz skromniejszą. Grabili też rzeczy coraz mniejszej wartości, grabili przez pokolenia, dopóki nie zeszli do odbierania człowiekowi od ust ostatniego kęsa chleba. Zaczęło się poszukiwanie bogatszego łupu po za granicami świata egejskiego: część piratów zaczęła odpływać, co ułatwiło niezawodnie przybyszom greckim zagospodarowanie się w wyniszczonym kraju.

Spróbujmy sobie wyobrazić położenie ludności miejscowej.

Przed katastrofą była ona w popularnym sensie najszczęśliwszą na świecie. Bogactwo, zbytek, komfort, estetyka życia, wcale wysoki niezawodnie jej poziom umysłowy, brak groźnych nieprzyjaciół, prócz piratów, z którymi sobie radzono jako tako, stąd brak ciężkich obowiązków, życie łatwe i swobodne. Nagle wszystko to się skończyło. Bogactwo złupione i gromadzenie jego niemożliwe. Przemysł,

handel ustał. Szukanie zysku, ponad najpierwsze potrzeby człowieka, bezcelowe. Bezcelowe również uczenie się jakiejś wyższego rodzaju pracy. Cała ludność zeszła stopniowo na poziom najnędzniejszej, najniższej egzystencji. Nie wiadomo, ile pokoleń trzeba było, żeby doszła do stanu, który odmalował krótko Tucydydes.

Człowiek, który bardzo rychło niezawodnie przestał czytać i pisać, który zatracił wiedzę o przeszłości, bo ta, żyjąc w ustnej tradycji, coraz bardziej się zacierała, miał naokoło siebie chaos: nie było w kraju władzy, nie było gospodarza, nie było porządku, ani sprawiedliwości. Nie miał o co się oprzeć, mógł polegać tylko na sobie i na najbliższych, na swej osobistej zdolności do obrony, a raczej do uciekania przed niebezpieczeństwem.

Była to egzystencja dzika. Sam on wszakże nie był dziki. Pod czaszką pozostał mu mózg, odziedziczony po kilkudziesięciu pokoleniach, żyjących na coraz wyższym poziomie cywilizacji, w końcu bardzo wyrafinowanej. Mózg ten był zaniedbany, nie wyćwiczony, nie nauczony wyższych rodzajów pracy, ale budowa jego, komplikująca się przez tyle pokoleń, nie mogła w ciągu kilku pokoleń tak wiele się uwstecznić. Zdolności jego, z któremi na świat przychodził, umysłowe i uczuciowe, nie mogły być zdolnościami człowieka dzikiego. Jako istota indywidualna, jako jednostka, musiał on być materiałem na dość wysoki gatunek człowieka. Do tego, żeby nim zostać, brakowało mu tylko społeczeństwa. Bo człowiek wyższego gatunku moralnego i umysłowego bez społeczeństwa istnieć nie może.

Społeczeństwo wszakże cywilizacji egejskiej zostało zniszczone. Nie mogli go zniszczyć rozbójnicy odrazu, w jednem pokoleniu, ale zniszczyło je piekło anarchii, panujące przez szereg pokoleń po katastrofie. Wytrzebiło ono w duszach ludzi najważniejsze więzy, łączące ich w jedną całość wyższego rzędu, robiące ich cywilizowanem społeczeństwem. W świecie egejskim instynkty społeczne były niezawodnie za słabe, żeby się przed poważniejszem niebezpieczeństwem obronić, ale wystarczały, żeby w bezpiecznych i łatwych warunkach istnieć, żyć bogatem życiem i tworzyć. Teraz zanikły one w takiej mierze, iż społeczeństwo właściwie przestało istnieć.

II

Prawdopodobnie nigdy i nigdzie w dziejach ludzkości jednostka ludzka nie była tak samodzielną, jak w zniszczonym świecie egejskim. Myślała ona i postępowała na własny rachunek, licząc się tylko z warunkami zewnętrznemi i czując, że poza tem zależy tylko od siebie. Człowiekowi temu nie dyktował nikt, nawet jego własne instynkty społeczne, bo te były w rozkładzie. Więcej niż wątpliwą jest rzeczą, czy to mu dawało szczęście i czy zgodziłby się na ibsenowską tezę: „najsilniejszy jest człowiek, kiedy sam stoi".

Jeżeli świat egejski był takim i upadek jego nastąpił na tej drodze, jak to wyżej przedstawiono, to przyznać trzeba, że nigdy i nigdzie w dziejach ludzkości nie zjawił się człowiek tak wyzwolony z pod władzy społeczeństwa, jak człowiek egejski po katastrofie. Nigdzie zatem nie był on takim materiałem na człowieka indywidualnego. To nam pozwala zrozumieć Grecję, która miejsce świata egejskiego zajęła, rozwiązać zagadkę grecką. I to nam ukazuje źródło indywidualizmu cywilizacji europejskiej.

W katastrofie egejskiej narodził się Europejczyk.

Dziejów żadnego narodu nie opracowano tak gruntownie, tak szczegółowo, jak dziejów klasycznej Grecji. Dokonał tego wiek dziewiętnasty. Zużytkowano cały istniejący materiał grecki, który do nas doszedł, bo, niestety, z tego, co Grecy stworzyli, wiele nazawsze zginęło. Rozwinęła się, na źródłach greckich oparta, wiedza hellenistyczna, niezmiernie bogata, gdy chodzi o język, twórczość, życie i czyny historyczne Greków.

Zapał, z którym się rzucono do badań na tem polu, pochodził z dwóch źródeł: jednem była wielkość Grecji i podziw, który budziła, drugiem— bliskie pokrewieństwo duchowe z Grecją, które Europejczyk XIX stulecia żywo odczuwał. Europa, a zwłaszcza ci, którzy się badaniom greckim poświęcili, popadli pod hypnozę poezji, sztuki, filozofii, faktów bohaterstwa i ustroju życia greckiego do tego stopnia, że rozszerzali swój zachwyt na wszystko, co greckie, nietylko na to, co piękne, ale i co było niewątpliwą brzydotą. Grecja była dla nich obrazem harmonii — zamykali oczy na rysy, wybitnie kłócące się ze sobą. Źródła skrajnych przeciwieństw w charakterze Grecji w niczem nie było widać.

Pochodziło to przede wszystkiem z braku wiadomości o początkach Grecji. Te wiadomości posiada, w niedostatecznem, co prawda, zakresie, dopiero wiek obecny. To wkłada nań obowiązek zrewidowania całej wiedzy o Grecji, do zbadania nanowo materiału, w szczególności greckich historyków, bo z tem, co dziś wiemy, niejeden ustęp znanego autora zrozumiemy całkiem inaczej, niż wczoraj; niejeden potwierdzi nam to, czegośmy się z wykopalisk dowiedzieli.

To, że badania greckie w niedawnej przeszłości stworzyły tak olbrzymi gmach wiedzy, na której dzisiejsza, a może raczej wczorajsza Europa została wykształcona, powoduje nie małą trudność: nie bylejacy pracownicy tę wiedzę stworzyli i nie bylejacy będą umieli ją zrewidować. Dzisiejsi historycy nie śpieszą się z tą rewizją, choć mają poczucie jej potrzeby. Widocznie, nie bardzo czują się na siłach. Nie można się wszakże dziwić, że łaknący prawdy umysł ludzki, nie czekając na tę umiejętną, gruntowną rewizję, niecierpliwie zużytkowuje to, czego się niedawno dowiedział, i dochodzi do uogólnień, niezawodnie zbyt pośpiesznie.

Najwcześniejsze napisy greckie pochodzą z VI wieku, najwcześniejsze zaś pisma historyków greckich z V w. przed Ch. Znaczy to, że między zniszczeniem Krety i cywilizacji egejskiej a chwilą, w której Grecy zaczynają nam mówić o sobie, tysiąc lat blisko upłynęło. Wyjątek stanowi tylko stary epos homerowski, który, acz nie spisany, przetrwał do historycznych czasów.

Przez te tysiąc lat tworzył się naród grecki i organizowała się politycznie Grecja. O tem, że zaczął się tworzyć bardzo wcześnie, świadczy właśnie Homer, w szczególności zaś Iliada, która mniejwięcej o pół tysiąca lat pierwsze napisy greckie wyprzedziła.

Z tego, blisko tysiącletniego okresu zamierzchłych dziejów Grecji wyszedł naród grecki, któ-

ryśmy poznali na podstawie świetnej spuścizny, którą po sobie zostawił.

III

Hypnoza, którą wywarła Grecja na Europę XIX w., sprawiła, że tę spuściznę uznano za jedną, harmonijną całość, że pogodzono w niej to, co było wielkie, z tem, co było mizerne; co było wyrazem najwyższej w owe czasy dojrzałości ducha ludzkiego, z tem, co było dziecięce i śmieszne; co było wynikiem świeżości i surowości moralnej, z tem, co świadczyło o perwersji i zgniliźnie. Dopiero teraz, gdy dawna przeszłość odsłoniła nam rąbek swej tajemnicy, gdy pokazała mniej więcej, czem był lud tego kraju przed przyjściem Greków, otwierają nam się oczy na fakt, że jeżeli w Grecji spotkały się rzeczy, które się z sobą nie godzą, które są nie do pomyślenia, w jednem społeczeństwie, które nie mogą wychodzić z jednego źródła, to dlatego, że tu były dwa źródła, że ta Grecja zbudowała się z dwóch całkiem odrębnych ludów, że ta rzekomo harmonijna całość powstała z dwóch, odmiennych pod każdym względem materiałów.

Do pracowników przyszłości należy Grecję z tego punktu widzenia zanalizować, wykazać, co w nią wnieśli Ariowie greckiej mowy, a co tkwiło korzeniami w świecie egejskim i w jego upadku, co odżyło w cywilizacji greckiej, w ramach organizacji społecznej, którą stworzyli aryjscy przybysze.

Sama religia i mitologia grecka jest wyrazem tej dziwnej i dziwacznej często dwoistości. Religia dawnych Ariów, kult przodków, przetrwała w Grecji, jako religia domowa, i na niej się oparła mocna organizacja rodziny greckiej. Inna zupełnie była religia publiczna, która, jak dzisiejsze badania wykazują, rozwinęła się z religii świata egejskiego. Zwykłe to zjawisko w starożytnym świecie, że nowi panowie kraju dają się ciężko we znaki jego ludności, ale jego bogów się boją i starają się ich łaski sobie zaskarbić. To też i przybysze aryjscy zaprzyjaźnili się z bogami egejskimi takimi, jak ich poznali, a poznali ich niewątpliwie w postaci zwulgaryzowanej; bo po zniszczeniu cywilizacji egejskiej, po upadku umysłowym jej ludności, po zaniku sztuki pisania, przechowane w ustnej tradycji jej pierwiastki religijne musiały się niezawodnie zwulgaryzować. Pomieszały się niezawodnie rzeczy należące do religii z rzeczami do niej nie należącemi. Znaczna część tego, co nazywamy mitologią grecką, jest pewnie podawanemi z ust do ust przez ciemną ludność resztkami zaginionej literatury egejskiej, nieraz płochemi lub gruntownie niemoralnemi powiastkami. Naiwni barbarzyńcy aryjscy brali je poważnie i podnosili do godności mitów w których z tworami bogatej wyobraźni poetyckiej walczą o pierwszeństwo produkty wykoszlawionej wyobraźni seksualnej.

Ta sama dwoistość w obyczajach. Obok mocno zorganizowanej, patriarchalnej rodziny greckiej mamy usankcjonowanie jawnej prostytucji, podniesienie jej praktykantek do takiej godności, że biorą udział, jako korporacja, w procesjach religijnych (Korynt), rozpusta publiczna, wyrastająca do rozmiarów instytucji, rozwój wynaturzeń seksualnych, w których Grecy, jak sami to przyznają, stają się mistrzami dla ludów Azji (Persów) [1].

[1]) Herodot, 1,135.

W stosunku do ojczyzny obok wysokich cnót obywatelskich, poświęcenia dla niej i bohaterstwa — gubienie jej dla ambicyj osobistych, warcholstwo i zwyczajna zdrada; obok troski o jej przyszłość i zapewnienie jej dobrych rządów, która u Platona i Arystotelesa prowadzi do idei odgrodzenia ludzi rządzących od pogoni za pieniędzmi, od wszelkich „interesów", i budzi wstręt do wszelkiego handlu — zapanowanie w życiu kupiectwa, które szybko buduje bogactwo świata greckiego, a w szczególności Aten i jednocześnie wyrabia Grekom reputację najprzebieglejszych kupców. Wielkie cnoty obywatelskie i żołnierskie dali Grecji napewno nie potomkowie świata egejskiego; natomiast geniusz kupiecki wnieśli do niej nie ci homerowscy „władcy koni", „pogromcy koni", ani nawet najprzemyślniejsi z nich, jak Odysseusz, pan „bezkońskiej" Itaki, na którego dworze pierwsze miejsce zajmowali dozorcy krów, kóz i świń, czy też ci ich krewni, którzy po nich do Grecji przybyli. To geniusz rdzennych mieszkańców kraju, którzy stworzyli byli w odległej przeszłości wielką cywilizację kupiecką. Dzięki nim ów koczowniczy, konny w początkach lud grecki tak łatwo wyparł Fenicjan z wód swoich, rozwinął wielką żeglugę i stał się głównym kolonizatorem brzegów Morza Śródziemnego.

Od ilości jednego lub drugiego z dwóch materiałów ludzkich, z których się Grecja zbudowała w tej lub innej jej części, zależał jej charakter. Największy kontrast istniał między dwoma największemi jej ludami: między Atenami, stolicą duchowego życia i twórczości greckiej, jednocześnie zaś głównym centrem handlu i bogactwa, wreszcie ogniskiem największej ruchliwości życia politycznego, a Spartą, umysłowo nieruchliwą, upartą w swych starych pojęciach i podstawach swego życia, czerpiącą potęgę moralną i polityczną ze swej surowości. Wskazówkę do szukania źródeł tej różnicy daje Herodot, gdy mówi o Ateńczykach, jako o narodzie pelazgijskim, o Lacedomończykach zaś, jako o helleńskim. Dodaje on przy tem, że istniejący jeszcze za jego czasów w niektórych punktach Grecji Pelazgowie mówią językiem barbarzyńskim (nie greckim), Ateńczycy przeto musieli zaniechać mowy swych przodków i przyjąć grecką [2]).

Sądzić stąd należy, że główna ludność Aten pochodziła z Pelazgów, istniejących w kraju przed przyjściem Greków, Spartanie zaś byli czystymi mniej więcej potomkami Ariów greckiej mowy, którzy zepchnęli ludność miejscową do roli helotów. Co do Pelazgów, nie rozstrzygnięta jeszcze jest kwestia, czy byli oni starymi mieszkańcami świata egejskiego, czy też wcześniejszymi od Greków przybyszami, których cywilizacja miejscowa pochłonęła.

IV

Wielka karta, zapisana w dziejach świata przez Greków, to przede wszystkiem karta historii ducha ludzkiego, jego twórczości i jego walki o wyzwolenie z pęt społecznych, którą to walkę

[2]) Her. I, 56, 57. Niektórzy historycy dzisiejsi podają ten ustęp z historyka greckiego, jako jego opinię osobistą. Tymczasem ustęp ten brzmi wyraźnie i widać, że wyraża on opinię panującą, co do której nie było w Grecji wątpliwości. Herodot, gdy wypowiadał przypuszczenie osobiste, mówił to wyraźnie.

uprzytomnia los Sokratesa. Takiej olbrzymiej twórczości, takiego jej bogactwa, takiego mnóstwa jednostek twórczych w stosunku do liczby ludu, który je wydał, nie wykazał nigdy żaden kawałek ziemi.

Tembardziej to jest uderzające, że to wszystko się stało w tak krótkim okresie czasu. Przecież klasyczna Grecja to właściwie jakieś dziesięć pokoleń. Tak, jak nagle zajaśniała po ukazaniu się na widowni dziejowej, nagle się skończyła. Jeszcze nią była za Peryklesa, już nią nie była za Filipa Macedońskiego: za tego zgreczonego barbarzyńcy już nie miała duchów twórczych, nie miała wielkich indywidualności, a to, co myślał o niej Filip, świadczyło, że brak jej było prawdziwych obywateli, uczciwych ludzi.

Grecja klasyczna zgromadziła wielki kapitał cywilizacyjny, ale po wojnie peloponeskiej Grecy już nie byli zdolni go powiększać. Jeszcze go ponieśli do Azji, ale tylko dzięki temu, że poprowadził ich wielki Macedończyk, i jego ludzie, ponieśli go potem do Rzymu, gdy ich Rzymianie podbili i użyli do ozdobienia swego życia. Następnie już istnieli jako cesarstwo wschodnie, które o tysiąc lat przetrwało Rzym, w którym się skrzyżowały wpływy greckie i azjatyckie. Ale to już nie była Grecja i nie była Europa. W łonie Bizancjum istniała właściwa Grecja z Atenami na swem czele, z ich życiem umysłowem, z ich rolą w historii filozofii. Słabe wszakże było to życie, wątła twórczość w porównaniu z tem, cośmy przez Grecję nauczyli się rozumieć.

W przededniu krótkiej kariery Macedończyków w Grecji nastąpiła w ciągu paru pokoleń przemiana, która zniszczyła społeczeństwo i zniszczyła człowieka indywidualnego. Człowiek indywidualny stracił potęgę ducha, przestał być twórczym, umiał tylko kopiować lub wypaczać to, co zrobili jego ojcowie; jednocześnie zaś zatracił wartości moralne, które rozwinęło w nim życie społeczne pokoleń, cofnął się ku pierwotnej podstawie postępowania, ku bezwzględnemu egoizmowi i tem sposobem zniszczył społeczeństwo.

Walkę jednostki przeciw społeczeństwu, tak znamienną dla tej pierwszej historycznej cywilizacji europejskiej, rozpoczynają najsilniejsze umysły, czujące w sobie iskrę twórczą i szukające prawdy. Prawda jest potrzebą ducha indywidualnego, nie społeczeństwa: społeczeństwo potrzebuje dobra, choćby osiąganego drogą ukrywania prawdy i nawet narzucania nieświadomego czy świadomego kłamstwa. Potężny umysł indywidualny namiętnie szuka prawdy, choćby z niej wynikała szkoda.

Ci bojownicy prawdy, krępowani często przez społeczeństwo, walczą przeciw niemu, usiłują się wyzwolić z jego pęt umysłowych. W sferze natomiast moralnej najwięksi z nich są sługami społeczeństwa. Są oni Prometeuszami, którzy kradną bogom ogień z nieba, żeby przynieść go ludziom.

Instynkt samozachowawczy społeczeństwa, który mu nakazuje zachować jak najsilniejszą władzę nad jednostką, broni je przed tymi bojownikami i broni zwycięsko, gdy społeczeństwo jest mocne, jednolite. W Grecji wszakże, zbudowanej, jak już dziś wiemy, z dwóch, krańcowo przeciwnych sobie pierwiastków, a które, jak świadczą liczne fakty, jeszcze w czasach historycznych dalekie były od całkowitego się zlania, istotą społeczeństwa była jego niejednolitość, a co za tem idzie jego słabość. Przytem połowę tego społeczeństwa stanowili potomkowie świata egejskiego, skrajnie rozwinięci w kierunku indywidualizmu. Wydawali oni w dużej liczbie duchy indywidualne i stanowili podatne środowisko dla ich powodzenia.

Od zwycięstwa tych duchów zaczyna się proces indywidualizacji Greka, ale na nim się nie kończy. Za tymi pionierami idzie coraz większa liczba: walka przeciw społeczeństwu przenosi się z dziedziny umysłowaj na moralną, prowadzą ją już nie duchy wybrane, ale ludzie przeciętni, kierujący się świadomie czy nieświadomie pobudkami coraz mniej wysokiej natury. Z początku łudzą się oni często, że są Prometeuszami, choć nie kradną żadnego ognia bogom, a myślą o zdobyczach dla siebie.

Im bardziej rośnie ta armia, walcząca ze społeczeństwem w imię jednostki, tem silniej zapanowują w niej ludzie praktyczni, szukający korzyści osobistej. Wyrazicielem jej staje się coraz mniej filozof, a coraz więcej kupiec. W walce o wyzwolenie z pęt społecznych coraz mniej chodzi o pęta umysłowe, a coraz więcej o moralne, o pozbycie się obowiązków, nakazów postępowania tak, jak tego wymaga dobro społeczeństwa, i unikania tego, co społeczeństwu szkodzi, ale o stworzenie sobie życia bez poświęceń. Szybko się rozkładają zwyczaje, obyczaje, wewnętrzne nakazy moralne, któremi społeczeństwo trzyma jednostkę w swej władzy — przeciwstawia się jej zasadę postępowania tak, jak to każdemu jego rozum, a właściwie jego ślepy egoizm dyktuje. Ginie poczucie obowiązku oddawania społeczeństwu czegokolwiek swego, co jednostka osobiście posiada. Społeczeństwo stopniowo upada, przestaje istnieć.

Cóż się wtedy dzieje z jednostką ludzką? Walka między jednostkami, coraz gorzej regulowana przez społeczeństwo, zaostrza się coraz bardziej. Jednostka wyższa, lepsza, ginie, bo może zwyciężyć tylko w oparciu o społeczeństwo i jego instytucje, bo, z drugiej strony coraz mniej jest tych, którzy jej dzieło rozumieją, umieją ocenić. Jednostka przeciętna coraz bardziej jest bezbronną, gdy spotyka gorszą od siebie. Wynikiem jest upadek człowieka indywidualnego, szybkie jego cofanie się z poziomu, na który go podniosła cywilizacja, do poziomu bardziej pierwotnego, na którym postępowanie jego uzależnia się coraz więcej od jego egoizmu, od instynktów zwierzęcych.

Tak cywilizacja grecka, która podniosła człowieka na wyżyny, nieznane przedtem nigdzie, potem go szybko ściągnęła na dół, duchowo zniszczyła. Ten upadek powtarzał się z rozmaitą siłą i później w dziejach Europy, której cywilizacja wyszła z greckiej kolebki.

W wielkiej poezji, którą Europa w ciągu swych dziejów wydała, wiele jest prometeizmu. W tragedii wszakże Prometeusza brak ostatniego aktu — najstraszniejszego, któryby przedstawiał jego metamorfozę w bliskim jego potomstwie, powrót do niższych instynktów. Symbol tego powrotu możnaby widzieć w legendzie „utrefionej” Cyrce i w tych stworzeniach, w które zamieniała swych gości.

ROMAN DMOWSKI

OTTO VON BISMARCK

DZIEWIĘĆDZIESIĄT lat temu rozpoczęła się półwiekowa działalność polityczna Ottona von Bismarck. Rok 1848, który zamknął karierę innego męża stanu, Metternicha, otworzył wrota przed Bismarckiem; z tej okoliczności wynika, że nie wszystkie wichry przyniesione przez „wiosnę ludów" były wrogie przyszłemu „żelaznemu kanclerzowi". Z upadkiem Metternicha zaginęła idea europejskiej solidarności antyrewolucyjnej; Bismarck reprezentuje typ innego męża stanu: konsekwentnego państwowca - mocarstwowca. Z tego właśnie powodu, jeżeli osądzać Bismarcka z punktu widzenia doktrynalnego to wydaje się on niezupełny, niekonsekwentny; jednak jako przedstawiciel ideologii państwowej, imperialistycznej spotkał się Bismarck z łatwością z wielkimi prądami swojej epoki, w której po porzuceniu idei przedstawianej przez Metternicha zostały dwa wielkie kierunki: jeden uosobiony przez Marxa, a drugi właśnie przez Bismarcka, międzynarodówka i imperializm.

Podobnie jak Richelieu'go wyniosły Bismarcka na powierzchnię życia politycznego burzliwe fale wyborcze; ci dwaj wielcy ministrowie nie dosięgli by jednak szczytów władzy i nie zatrzymali by się przy niej bez oparcia się o bezspornego i stałego arbitra w postaci monarchy. Znane są trudne sytuacje wielkiego kardynała w jego stosunkach z Ludwikiem XIII, trudniejsze może jeszcze było często położenie Bismarcka wobec Wilhelma I, ale objęcie władzy przez każdego z nich i utrzymanie się przy niej przez dziesiątki lat było możliwe tylko dzięki monarszej inicjatywie i zaufaniu. Hr. de Saint-Aulaire w swojem świetnem studium o kardynale Richelieu zwalcza tezę H. Belloca, utożsamiającego rolę historyczną kardynała z rolą Bismarcka. Zasadniczo Belloc ma więcej racji, bo Richelieu w swoim wieku a Bismarck w swoim byli przede wszystkiem wielkimi ludźmi swojego państwa, swojego własnego narodu, inaczej niż Metternich, który był mężem stanu Europy, był raczej europejczykiem niemieckiego pochodzenia niż niemcem. Richelieu, poskromiciel hugonotów, sprzymierzył się z protestantami przeciw katolickim Habsburgom, gdyż w czasie wojny trzydziestoletniej katolicyzm niemiecki był siłą, która mogła Niemcy zcentralizować; jako element polityczny zagrażał on w Niemczech interesom Francji. Bismarck, entuzjasta królów pruskich, z jak największą przychylnością odnosił się do republikanów francuskich, licząc na to, że *régime* odrywający Francję od jej fundamentów organicznych musi ją osłabiać, zużywając w gorączce sporów wewnętrznych energię narodową.

Do swojej wielkiej roli Bismarck był bezwątpienia urodzony; wypadki pozwoliły mu ją odegrać. Od XIII-go wieku byli przodkowie Bismarcka pruskimi panami; po kilku setkach lat dopiero matka kanclerza wprowadziła pokrewieństwo z mieszczańską rodziną Menckenów. Jednak może ta właśnie okoliczność stworzyła w Ottonie v. Bismarck tendencje do wydobycia się ze sfery ziemiańsko - wojskowej. Dziadek Mencken był przedstawicielem wysokiej biurokracji pruskiej, zajmował stanowisko w radzie gabinetowej Fryderyka II i umarł za Fryderyka Wilhelma III jako główny kierownik tej Rady. Matka życzyła sobie aby jej czwarte dziecko, Otton, wstąpił w ślady tego dziadka i w końcu do tego doszło, ale były przeszkody. Dwa razy Bismarck osiadał na roli i dwa razy wstępował w szeregi biurokracji, ale i jedno i drugie mu nie wystarczało. Niezależny charakter i zdecydowane poglądy na sprawy zasadnicze nie czyniły z niego dobrego materiału na biurokratę: „normalna" kariera administracyjna przyszłego kanclerza zaczęła się i skończyła na urzędzie referenta i zostawiła w nim obrzydzenie do paperaserii i do regulaminów; Bismarck nie nadawał się na wykonawcę — *aut Caesar aut nihil.* Życie na wsi także mu nie dogadzało; skorzystał z paroletniego okresu administrowania dobrami na Pomorzu, poświęcając dużo czasu na bardzo gruntowną lekturę dzieł historycznych i ekonomicznych; przydało mu się także związanie majątkowymi i towarzyskimi stosunkami ze sferą ziemiańską, bo wprowadziło go do Landtagu pruskiego w 1847 r.

Do życia politycznego wszedł Bismarck z opiniami stanowo - liberalnemi, ale prawie natychmiast umieścił się na prawicy nietyle jako konserwatysta, ile jako zwolennik państwa autorytatywnego, opartego na fundamentach narodowo-historycznych; od ultra-konserwatystów stale siebie separował i żartował z ich „barokowych" przemówień. Nie ulega wątpliwości, że Bismarck był „mniej" ludzkim, mniej europejskim i mniej „pryncypialnym" politykiem od Richelieu'go, nie mówiąc już o Metternichu. W dobie swojej największej glorii zwierzał się Bismarck (i to francuzom!), że nie trzeba w polityce być zbyt logicznym, trzeba przystosować się do okoliczności; przyznawał także, że wszedł w życie polityczne z poglądami, które potem uznał za nieodzowne poświęcić na rzecz konieczności chwili; tę taktykę opierał na przekonaniu, że „prawdziwy mąż stanu nie powinien narzucać krajowi osobistych swoich tendencji, gdyż ojczyźnie trzeba służyć a nie władać nią". W roku „wiosny ludów" Bismarck reprezentował poglądy monarchistyczne i pruskie, z namiętnością przeciwstawiając się demokratom i narodowo-liberalnym projektom zjednoczenia Niemiec, ale jednocześnie, wypowiadał się przeciw rządom biurokratycznym a za „*soziale Monarchie*". W owym roku 1848 wszedł Bismarck po raz pierwszy w kontakt z koroną i po raz pierwszy ukazała się możliwość jego wejścia do ministerstwa.

Wydawać się może trochę niezrozumiałem negatywne stanowisko Bismarcka wobec ofiarowania niemieckiej korony cesarskiej Fryderykowi Wilhelmowi IV a potem wobec ołomunieckiego układu z Austrią; wypadki te osądzał Birmarck ze stanowiska państwowca pruskiego „*Preussen sind wir und Preussen wollen wir bleiben*" oświadczał w 1849 r. i dodawał, że „nie chodzi o utrzymanie czy zbudowanie państwa związkowego za wszelką cenę, lecz o nietykalność pruskiej korony za wszelką cenę". W 1851 r. wszedł Bismarck po raz trzeci i już ostatecznie do służby państwowej, ale na stanowisko samodzielne: jego czysto pruski punkt widzenia wyrobił mu miejsce przedstawiciela Prus w niemieckiej radzie związkowej

(Bundestag) we Frankfurcie n/Menem. Jako zwolennik dobrych stosunków z Rosją, co miał sposobność zaznaczyć w czasie wojny krymskiej, przeszedł Bismarck na stanowisko ambasadora w Petersburgu; obojętność na klęski Austrii w wojnie 1859 przygotowała Bismarckowi stanowisko ambasadora na dworze Napoleona III. Wreszcie wstąpienie na tron Wilhelma I, który chciał mieć obok siebie nieugiętego ministra w zatargach z sejmem o armię, doprowadziło Bismarcka do naczelnego stanowiska, które sprawował bez przerwy przez lat 28 (1862—1890).

Do władzy przyszedł Bismarck jako polityk dobrze widziany przez naczelne dowództwo; na decydujące rozmowy z Wilhelmem I, który broniąc budżetu wojskowego przed atakami opozycji sejmowej gotów był abdykować, wezwał Bismarcka z Paryża słynny gen. von Roon; ze wszystkimi bywał Bismarck w czasie sprawowania rządów w konflikcie, tylko z armją nigdy.

Z królem miał Bismarck trudne przeprawy od chwili swego pierwszego wystąpienia w sejmie w charakterze pruskiego premiera; wystąpienie to nawołujące do „zjednoczenia przez krew i żelazo" tak zatrwożyło Wilhelma I, że oświadczył swemu premierowi: „Już widzę dobrze jak się to wszystko skończy. Na placu Opery przed moimi oknami zetną panu głowę a wkrótce potem mnie". Jednak przez ćwierć wieku Wilhelm I i Bismarck z sobą współpracowali, przyczem Wilhelm zawsze mniej pożądający i ostrożniejszy przed realizacją danego przedsięwzięcia, po jego udaniu się był zawsze bardziej natarczywy i mniej nasycony od swego ministra. Jeśli Hitler czytał Bismarcka „*Gedanken und Erinnerungen*", to łatwo zrozumieć, że mógł sobie nie życzyć istnienia koło siebie środowiska i nad sobą instancji, z którymi współżycie bynajmniej sytuacji zdecydowanego męża stanu nie ułatwia. Za poparcie, które mu tron jako autorytet moralny i polityczny udzielał, odpłacać się musiał Bismarck nietylko objektywnymi rezultatami swej polityki, ale nieustanną, przezorną taktyką, uśmierzającą niezadowolenia, podejrzenia i wpływy wrogich intryg wśród rodziny monarszej i u samego monarchy. Staremu Wilhelmowi I, kronprinzowi Fryderykowi (cesarz Fryderyk) i, oczywiście, Wilhelmowi II dostało się od Bismarcka sporo przycinków i epitetów. Bismarck więcej liczył na siebie niż na swego monarchę; w czasie kapitulacji Napoleona III nie dopuścił do spotkania się cesarza z królem pruskim przed przyjęciem przez francuzów ułożonych przez siebie i Moltkego warunków; w czasie układów o sojusz niemiecko - austriacki w 1879 r. mówił Bismarck, że cesarz Wilhelm postradał wszelką energię i siły intelektualne i daje się obałamucać starymi anegdotkami; jako ostateczny środek na cesarza, aby zgodził się podpisać ten sojusz, urządził Bismarck kampanię prasową w czasie której artykuły napisane w urzędzie kanclerskim (zob. pamiętniki Buelowa i dziennik Buscha) i wpuszczone do subwencjonowanych dzienników przedstawiano staremu monarsze jako wyraz opinii publicznej. Z przedwczesnej śmierci cesarza Fryderyka był Bismarck, można powiedzieć, zadowolony, gdyż obawiał się jego liberalizmu, anglofilstwa (naśladowanie instytucji angielskich było, zdaniem Bismarcka, źródłem nieszczęść państw kontynentu europejskiego) i dążeń centralistycznych; przyznawał, że Fryderyk nie był zarozumiały, ale odmawiał mu zaciekawienia sprawami państwowemi i znajomości ich.

Wydawało się Bismarckowi, że z Wilhelmem II będzie mógł łatwo współżyć, odgrywając rolę mentora, ale wkrótce doszedł do przekonania, że młody władca jest „zarozumiały i niedoświadczony". Po dwóch latach współrządów nagromadziło się tyle konfliktów, że rozejście się było nieuniknione. Momentem zasadniczym, tłem sytuacji, było to, że Wilhelm II nie chciał uchodzić za zero, nie chciał chodzić w cieniu kanclerza; takie powody dymisji Bismarcka podawał i sam „żelazny kanclerz" i jego entuzjasta, późniejszy kanclerz, Buelow. Jednak trzeba przyznać, że zachowanie się samego Bismarcka nie było zbyt lojalne: nie przedstawiał on szeregu informacyj cesarzowi, skierowywał liczne dokumenty tak, żeby do cesarza nie doszły. Sprawa stosunku do ustawodawstwa pracy i do socjalistów nie była przełomową w stosunkach Wilhelma II z odziedziczonym po dziadku i ojcu kanclerzem; większy wpływ na dojście do skutku dymisji miała niechęć Bismarcka do zbliżenia z Rosją przez spotkanie się osobiste cesarzów i obawa Wilhelma, że sytuację wewnętrzną rozgorączkuje zamierzona przez Bismarcka zmiana prawa wyborczego do Reichstagu; decydujący wreszcie wpływ miało wspomniane wyżej rozszerzanie przez Bismarcka kompetencyj kanclerskich i ograniczanie możności cesarza informowania się.

Pomimo swoich rozterek z książętami Bismarck wzmocnił monarchizm na kontynencie europejskim, ustaliwszy typ monarchii konstytucyjnej. W czasie wojny z Francją wygłosił Bismarck zdanie, że tylko i wyłącznie jako dobry chrześcijanin jest monarchistą, gdyż bez tego wolałby żyć dla siebie na wsi: „Gdyby to nie było Bożym rozkazem, to dlaczego miałbym się podporządkowywać tym Hohenzollernom...? Jest to rodzina ze Szwabii i wcale nie lepsza od mojej". Te dosyć płytkie zdania Bismarcka, który pierwszy ze swej rodziny i tylko dzięki interwencji monarszej został do władzy powołany i mógł się przy niej utrzymać, odróżniają go od Richelieu'go i Metternicha, którzy nawet *in foro interno* na takie wybuchy o dynastii by sobie nie pozwolili. Pod koniec życia Bismarck zaczął idealizować Wilhelma I, przeciwstawiając go wnukowi i z myślą o Wilhelmie I na swoim grobowcu kazał wyryć, że spoczywa w nim Niemiec, który był wiernym sługą swego władcy.

Chrześcijański światopogląd, który według samego Bismarcka był punktem wyjścia dla jego obowiązków wobec państwa i narodu, ustalił sobie Bismarck dzięki małżeństwu, które w tej dziedzinie rzeczywiście doniosły wpływ na niego wywołało. Po ślubie Bismarck stwierdzał: „Nie rozumiem jak człowiek, który zastanawia się nad sobą, a jednak o Bogu nie wie albo nie chce wiedzieć, może się uchronić przed niesławą i nudą. Nie wiem jak sam mogłem to dawniej wytrzymać", i: „Nie wiem skądbym czerpał poczucie obowiązku, jeśli nie z wiary w Boga". Mając takie poglądy ogólne, daleki był jednak Bismarck od ścisłego wykonywania praktyk religijnych. Bismarckowski „*Kulturkampf*" wyniknął nietyle z jego poglądów na religię, ile na państwo. Chciał Bismarck, żeby państwo było wolne tak jak sobie to wyobrażał; wolne od wpływów klasowych, od finansjery międzynarodowej i wolne od ingerencji

nawet władzy spirytualistycznej tylko, ale światowej i wychodzącej z zagranicznego ośrodka; dlatego Bismarck był wrogiem socjalistów, ale wprowadzał ustawodawstwo społeczne, dlatego był zwolennikiem protekcjonizmu celnego i dlatego również poprowadził „*Kulturkampf*", choć był zdecydowanym zwojennikiem państwa chrześcijańskiego. Już w Landtagu pruskim z 1847 r. zajął Bismarck stanowisko wobec sprawy żydowskiej, wypowiadając się za utrzymaniem chrześcijańskiego charakteru państwa przez niedopuszczenie żydów do urzędów publicznych i do nauczania w szkołach. Ten punkt widzenia nie uległ już u Bismarcka zmianie, a tylko precyzował on go przy różnych okazjach np. w czasie wojny z Francją, goszcząc na zamku rotszyldowskim w Ferrières, powiedział o żydach: „Oni nie mają prawdziwej ojczyzny; to są internacjonaliści, europejczycy, kosmopolici, włóczęgi. Ich prawdziwa ojczyzna to Sjon, to Jerozolima. Po za niemi oni są obywatelami całego świata. Są między nimi dzielni i uczeni ludzie". Potem, w 1881, uzupełniał: „Trzeba dobrze odróżniać. Są żydzi i żydzi... Ci, którzy się wzbogacili, przestają być niebezpieczni; nie budują barykad i dokładnie płacą podatki. Tylko ci żydzi, którzy nic nie mają, a przede wszystkim żydowscy dziennikarze są przedsiębiorczy i trzeba ich się strzedz". Wypada pamiętać, że w roku 1866 dokonał zamachu na Bismarcka żydowski publicysta Cohn; z drugiej strony, trzeba zaznaczyć, że Bismarck w sprawach finansowych często korzystał z informacji i wskazówek bankiera Bleichroedera i że unikał konfliktów z wodzem angielskiej prawicy imperialistycznej „starym żydem" (*der alte Jude*) Disraelim, gdyż chodziło mu o to, żeby Anglia nie zbliżała się do Francji.

Trudno zaprzeczyć, że Bismarck był mężem stanu, któremu się powiodło i powiodło mu się mimo przeszkód. Naprzód musiał się wydobyć z szeregów swojej warstwy i tego dokonał; był on w porównaniu z Richelieu i, przede wszystkim, z Metternichem daleko bardziej *selfmade-man*'em. Potem, jako minister musiał zwalczać wielkie trudności na terenie zagranicznym i wewnętrznym, przyczem te ostatnie udało mu się wygładzić dzięki *prestige*'owi nabytemu przez powodzenia międzynarodowe. Trzy zwycięskie wojny musiały być przeprowadzone, aby urzeczywistnić plan naszkicowany przez Bismarcka w roku „wiosny ludów": zjednoczenie Niemiec przez hegemonię pruską, ścisły sojusz z Austrią i zawieszenie niemieckich sztandarów na wieżach Strassburga, Bismarck ponosił osobistą odpowiedzialność za wynik wojen przez to, że od niego zależało: stworzenie dogodnej sytuacji, wybór odpowiedniego momentu do rozgrywki i wreszcie polityczne wyzyskanie zwycięstwa. Każde z tych zadań Bismarck spełnił po mistrzowsku w roku 1864, tak samo jak w roku 1866 i 1870. Nie umniejsza wielkości zadań spełnionych osobiście przez Bismarcka to, że miał obok siebie sztab dobrych dyplomatów i że zagraniczni jego partnerzy byli zadziwiająco naiwni i źle poinformowani. Nie ulega wątpliwości, że w r. 1866 i 1870 interwencje uboczne (w 1866 r. Francji i Rosji, w 1870 Rosji i Anglii) sparaliżowałyby wysiłki Prus, ale Bismarck umiał temu zapobiedz. W 1866 igrał z Napoleonem III i jego doradcami jak kot z myszą: gdy żądali lewego brzegu Renu ofiarowywał im Belgię a po zawarciu rozejmu z pobitą Austrią wyparł się swoich obiecanek, z których skorzystał w 1870, ujawniając Anglii chęć cesarza Francuzów zaanektowania Belgii. Pomimo swego chrześcijańskiego poczucia obowiązku nie miał Bismarck skrupułów: „W polityce, twierdził, nie ma miejsca na litość" i uważał, że „Prawdę mówiąc wojna jest naturalnym stanem ludzkości". Najbliższe otoczenie potakiwało Bismarckowi; hrabina Bismarck w czasie wojny z Francją wyjawiała pragnienie, aby we Francji nie zostało w miastach kamieni na kamieniu i żeby cała ludność z dziećmi włącznie została wyrżnięta; rodzina Bismarków nie znosiła cesarzowej Augusty, żony Wilhelma I, o której z drwinami kanclerz mówił, że wymyśliła dla siebie „rolę anioła pokoju"; w czasie oblężenia Paryża głosił Bismarck, że trzeba stolicę świata zburzyć do fundamentów. Przy tem wszyskiem w salonie bywał podobno Bismarck wyszukanie grzeczny, ściskał rękę nawet najmłodszym gościom, całował w rękę damy, żartował. Według swego późniejszego następcy, Buelowa, umiał mówić na wszystkie tematy, nigdy w sposób doktrynalny, często z werwą, w sposób dowcipny i oryginalny; wypowiadał zdania wolno, prawie z wahaniem, głosem łagodnym. Z notatek pamiętnikarzy (M. Busch) wynika, że załatwiając sprawy służbowe miał jednak Bismarck całkiem inną pozę, która napewno więcej odpowiadała jego charakterowi o czem świadczy choćby jego sztywny z gruba ociosany profil z podkrążonemi oczyma, tak różny od subtelnych rysów Richelieugo i Metternicha, oraz podobnie sztywny, mocny charakter pisma odsłaniający całą bezwzględność człowieka, który dla swego narodu zrobił więcej niż ktokolwiek inny w jego wieku.

Bismarck ma miejsce w historii jako imperjalista. Napoleon był także imperialistą i to — dla nacjonalisty — niżej stojącym od Bismarcka, bo nie dla narodu, nie w imię opartego na tradycjonalizmie państwa, lecz dla siebie i dla imperium oderwanego od historii, niwelującego i rozpowszechniającego ideologię wielkorewolucyjną. Anglia, ta „liberalna" Anglia XIX wieku, była także imperialistyczna, ultra-imperialistyczna, ale nie w Europie. Takie było stulecie całe — imperialistyczne t. zn. zaborcze. Historycy demoliberalni wybaczają imperializm Napoleonowi, bo służył niwelacji wielkorewolucjnej, wybaczają również imperializm Anglii, bo realizował się za Europą a w Europie ograniczał się do rewolucjonizowania, rozbijania od wewnątrz (francuska rewolucja Lipcowa i Lutowa, rewolucja we Włoszech i w Hiszpanii). Za to Bismarck, który używał imperializmu na korzyść jednego państwa, a w wyniku — jednego narodu, i działał na kontynencie europejskim stał się w oczach opinii światowej uosobieniem potępionego imperializmu.

Po usunięciu z widowni tradycjonalistycznych państw i mężów stanu, jak monarchia francuska i Metternich, zostali tylko imperialiści, tylko ci, którym obce było pojęcie cywilizacyjnej społeczności europejskiej, dla których stosunki międzynarodowe wydawały się rządzone przez prawo dżungli. W tej dżungli Bismarck zrobił co mógł, prawo jej znał i stosował z powodzeniem na korzyść państwa, narodu, a więc pojęć zrozumiałych i szanowanych przez dzisiejszego nacjonalistę, *sub specie aeternitatis* bliższego pojęciami do Richelieugo i Metternicha niż Bismarcka, ale dalszego od kosmopolisu napoleońskiego i angielskiego niż od Bismarcka.

LESZEK GEMBARZEWSKI

GHETTO W SZKOLNICTWIE

DO ROZDZIAŁU wychowania dzieci chrześcijańskich i żydowskich dążą obie strony — tak chrześcijanie, jak i żydzi.

Konieczność tego rozdziału rozumieją coraz powszechniej kierownicy obu narodów, polskiego i żydowskiego.

Dawno minęły czasy, gdy żydzi, wyzwoleni z ghetta przez liberalne konstytucje XIX w., z rozkoszą „tarzali się” wśród innych narodów, korzystając z równych praw, gdy imponowały im stosunki towarzyskie, gdy posyłanie dziecka żydowskiego do szkoły polskiej uchodziło za awans w hierarchii społecznej i za postęp. Asymilację tę pod względem kulturalnym żydzi religijni nazywali zawsze — zeświecczeniem. Równało się to często obojętności religijnej i łamaniu wielu przepisów, a jeszcze więcej zwyczajów żydowskiej religii. Z tego podłoża wypłynęło dążenie żydów religijnych do utrzymania specjalnych szkół religijnych dla mas (a nie tylko dla wybranych). Szkoły te przetrwały najbujniejsze czasy rozkwitu szkół świeckich, a dziś zyskują uznanie i pomoc nawet najbardziej radykalnych i świeckich żydów. *Tempora mutantur*. „Ciemne zaułki ghetta” wyniesiono znowu na żydowskie ołtarze z tą różnicą, że poza pierwiastkami religijnemi ortodoksów wypłynęły na wierzch pierwiastki narodowe.

P. Samuel Chmielewski zajął się w ciekawym studium „stanem szkolnictwa wśród żydów w Polsce” (vide „Sprawy narodowościowe”, nr 1—2 z r. 1937). Szereg cyfr, które poniżej zacytuję, czerpię głównie z tego studium.

Ogólnie cyfry, zestawiane przez Chmielewskiego, dowodzą, że w r. 1934/35 kształciło się osobno w szkołach czysto żydowskich: 30% dzieci żydowskich w wieku szkoły powszechnej, 50% młodzieży szkół średnich, 70% młodzieży szkół zawodowych. Dwie trzecie młodzieży żydowskiej, otrzymującej matury szkół średnich, nie korzysta ze studiów akademickich w Polsce. Wielu z nich wyjeżdża na uniwersytet hebrajski do Tel Aviw, wielu rezygnuje ze studiów wyższych wogóle.

Wyodrębnienie dzieci żydostwa z ogólnego systemu wychowania zostało więc w znacznej części przeprowadzone.

Oto trochę szczegółów.

Spis z r. 1931 wykazał 9,8% żydów w Polsce. Tyle mniej więcej winno być żydowskich dzieci w szkołach powszechnych. Nauka w zakresie szkoły elementarnej jest obowiązkowa. Żydzi w 75% mieszkają w miastach, gdzie wszędzie są szkoły III stopnia organizacyjnego, a więc najlepsze.

W r. szk. 1930/31 było dzieci żydowskich w szkołach powszechnych 9,2%, w r. 1934/35—9,1%. Jeśli weźmiemy tylko szkoły publiczne, to dzieci żydowskie mają tam już tylko 7,6%.

Szkoły prywatne, choć jest ich aż 1396, nie odgrywają w szkolnictwie elementarnem większej roli. Uczęszcza do nich zaledwie 3% dzieci. Szkoły prywatne mają większe znaczenie jedynie dla żydów. Na 138.665 dzieci, uczących się w szkołach prywatnych, mają dzieci żydowskie 81.895 czyli 59%. W szkołach publicznych było dzieci żydowskich 343.671. Daje to w tej grupie: 20% w szkołach prywatnych, 80% w szkołach publicznych. Stosunek ten zmieni się poważnie, gdy stwierdzimy za Chmielewskim, iż do prywatnych chederów, nie ujętych przez urzędową statystykę, uczęszczało około 40.000 dzieci. O tę liczbę trzeba odrazu podnieść ilość dzieci żydowskich, kształcących się osobno. A nie jest to jeszcze wszystko.

Prywatne szkoły żydowskie kształcą:

Sjonistyczny Tarbur 34.242 dzieci,

Świecki, areligijny Ciszo 9.936 dzieci,

Religijny i sjonistyczny Mizrachi-Jabue 270 szkół—dzieci około 20.000,

Ogólno-żydowski Szul-Kult 2.343 dzieci.

Religijne chedery, Talmud-tory, jeszyboty i dla dziewcząt. Jeszyboty: chedery uznane i talmud-tory 61.328 chłopców, chedery prywatne 40.000 chłopców, Jeszyboty ponad 25.000 dziewcząt. Razem wedle źródeł żydowskich aż 192.000 dzieci żydowskich w wieku głównie szkolnym (od 5 roku życia) kształci się w zakładach prywatnych. Porównując 348.671 dzieci żydowskich w szkołach publicznych z 192.000 w szkołach prywatnych — otrzymamy prawie 40% dla szkół prywatnych. W chederach jest jednak dość dużo dzieci w wieku przedszkolnym. Dlatego odjąć je trzeba od liczby dzieci, obowiązanych do normalnej nauki szkolnej. Przyjmujemy więc ostrożnie liczbę dzieci żydowskich, uczących się w szkołach powszechnych prywatnych, na 30% ogółu dzieci żydowskich.

W r. 1925/26 na 215.224 uczniów szkół średnich było żydów 41.806 czyli 19,5%, w r. 1930/31 na 206.055 uczniów 43.583 żydów czyli 21,1%, w r. 1934/35 na 166.090 uczniów było żydów 29.822 czyli 18%. Tak wielkie zmiany frekwencji są wynikiem a) kryzysu, b) reformy ustroju szkolnictwa średniego z r. 1932, który obciął dwie najniższe, a zarazem najliczniejsze klasy gimnazjalne. Wobec tych zmian radykalnych, ograniczam się do analizy cyfr z r. 1934/35.

W r. 1934/35 młodzież żydowska uczęszczała: 9.241 uczniów do szkół państwowych, 669 uczniów do szkół samorządowych, 19.912 uczniów do szkół prywatnych. Młodzież żydowska stanowiła: w zakładach państwowych 10,2%, w samorządowych 7,2%, w prywatnych 30,2%.

Szkoły średnie prywatne dzielą się zasadniczo na dwie grupy: na szkoły ogólne, dostępne dla wszystkich, i na szkoły narodowościowe żydowskie. W szkołach pierwszej grupy było żydów 5.398 na 51.198 uczniów i stanowili w nich 10,5%. W szkołach czysto żydowskich było 14.514 żydów.

Podział owych 29.822 żydów, uczęszczających do szkół średnich był następujący:

w szkołach publicznych	9.241	=	30,9%
„ samorządowych	669	=	2,2%
„ prywat. ogólnych	5.398	=	18,3%
„ „ żydowsk.	14.514	=	48,9%

W ciągu ostatnich lat trzech, dla których szczegółowo opracowanej i opublikowanej statystyki jeszcze nie posiadamy (Mały Rocznik 1938

podaje daty za r. 1934/35), podział żydów i odpływ ich do szkół prywatnych i żydowskich na pewno poczynił dalsze postępy. Za tym conajmniej połowa młodzieży żydowskiej kształci się już osobno.

Nie mniej uderza nas wysoki procent żydów w szkolnictwie średniem. Wynosi on jeszcze obecnie 18%, a więc stosunkowo dwukrotnie przewyższa procent żydów w kraju. Szkolnictwo średnie jest szkolnictwem najbardziej zażydzonem. Obserwujemy przytem objaw wyjątkowo ciekawy: oto wzrasta procentowy udział żydów w szkołach państwowych. W r. 1925/26 wynosił on 8,7%, w r. 1934/35—10,2% ogółu. Dzieje się to w czasie, gdy dla wielu dzieci polskich brak miejsca w tych szkołach. Dzieci żydowskie w gimnazjach państwowych stanowią: w woj, tarnopolskiem 26,9%, nowogródzkiem 23,1%, stanisławowskiem 20,3%, lwowskiem 16,7%, poleskiem 16,3%, wołyńskiem 15,6%. Ogółem żydzi mają w szkołach średnich więcej dzieci, niż chłopi i robotnicy.

Szkolnictwo zawodowe jest tylko w małym procencie szkolnictwem państwowem. W r. 1934/35 na 23.901 uczniów w szkołach zawodowych państwowych mieli żydzi 1.312 czyli 5,5%. Prócz tego mieli żydzi w szkołach samorządowych 259 i w szkołach prywatnych 5.554. Razem 6.994 na 47.677 czyli około 17%.

Poza żydami w szkołach państwowych i samorządowych (razem 1.571) było jeszcze 1.376 żydów w zawodowych szkołach prywatnych ogólnych. Reszta t. j. 3.711 żydów uczęszczała do szkół zawodowych żydowskich. Daje to dla żydów: 16,9% w szkołach państwowych, 3,7% w szkołach samorządowych, 8,3% w szkołach prywatnych ogólnych i 71,1% w szkołach prywatnych żydowskich.

Wyższe uczelnie nie nadają się jeszcze do porównań. Tu na razie odbywa się tylko proces zmniejszania żywiołu żydowskiego.

Było żydów na wyższych uczelniach państwowych i prywatnych

w r. 1924/25 — 8.173 = 21,5% ogółu
1932/33 — 9.694 = 18,7% „
1934/35 — 7.114 = 14,9% „
1936/37 — 5.700 = 11.8% „

Za rok ostatni, 1937/38, mamy na razie statystykę tylko dla nowoprzyjętych. Przyjęto 15.591, w tym wyznania mojżeszowego 1.183. Daje to żydom 7,6%.

Duże stosunkowo zażydzenie I roku studiów wykazują: wydziały humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu warszawskiego (257), wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego (125), Wolna Wszechnica (120), akademia Handlu Zagranicznego (53), Wyższa Szkoła Dziennikarska (31). Nie ma ani jednego żyda na I roku studiów: na wydziale weterynarii w Warszawie, na studium rolniczem i wydziale Sztuk Pięknych w Wilnie, na Uniwersytecie Poznańskim, na wydziale leśnym Szkoły Głównej, w Akademii Górniczej w Krakowie, w Katolickim Uniwersytecie w Lublinie, w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu, na Wyższych Kursach ziemiańskich we Lwowie, na Wyższych Kursach społecznych w Poznaniu i w Katowicach.

Odrębnych szkół wyższych, poza Instytutem Nauk Judaistycznych w Warszawie, dla żydów nie ma i zapewne już nie będzie. Jedyną formą wyjścia, przez obie strony już przyjętą, jest wyjazd maturzystów żydowskich za granicę. Sprawa nostryfikacji dyplomów tam zdobytych, jest ciągle jeszcze otwartą. W r. 1935/36 nostryfikowano 147 dyplomów zagranicznych, w tym z zakresu medycyny i dentystyki aż 93, a z techniki 34. Czyli: dużo!

Praca, jaką wykonało społeczeństwo polskie i żydowskie na polu oddzielenia dzieci polskich od żydowskich, jest bardzo poważna. Obecnie już łatwiej pójdzie ona naprzód. Świeżo ogłoszone dekrety Plenarnego Synodu Kościoła Katolickiego w Polsce przyśpieszą realizację utworzenia ghetta dla dzieci żydowskich: Kościół Katolicki bowiem stoi na stanowisku odrębnego wychowywania dzieci katolickich.

STANISŁAW RYMAR

ŁAD SERCA

JERZY Andrzejewski dał dziwny tytuł swej ostatniej powieści [1]). Ład serca? To nie odpowiada treści. Pasowało by do niej raczej coś na podobieństwo „Kłębowiska żmij." Oto na 14 ważniejszych osób ani jedna nie zażywa pokoju duchowego. Październik na Białorusi, gdzie powieść się rozgrywa, mroczny, huczący wichrami po lasach i moczarach — dobrze harmonizuje z życiem wewnętrznym postaci z „Ładu serca" Duszę ks. Siechenia wciąż nurtuje niepokój, trapi go poczucie odpowiedzialności za stan moralny parafii, dręczy go stosunek kolegów — księży, kusi go szatan, łamie słabość ludzka, gniotą wspomnienia burzliwej młodości. Jak się potem okaże, kochanka, którą ks. Siecheń kiedyś opuścił, czując nagłe powołanie kapłańskie, z rozpaczy i niedoli stała się prostytutką i wspólniczką zbrodni. Morawiec jest bandytą, mającym na sumieniu wiele zabójstw. Litowka jest eksbandytą, a obecnie, kiedy się powieść rozpoczyna, szynkarzem i stręczycielem do nierządu.

Słyszymy jeszcze o trzecim bandycie, Buraku. Seweryn Gejżanowski, syn dziedzica, uwodzi dziewczyny wiejskie, włamuje się do kasy własnego ojca, nakłania dworskiego lokaja do stręczycielstwa i kradzieży, a nakoniec morduje policjanta i pozwala, aby podejrzenie o zbrodnię padło na kogo innego. Jabłoński, kierownik poczty, któremu żona od lat dogorywa, jest szmatą ludzką, unurzaną w prostytucji i alkoholu. Zbrodniarką jest Taisa, mordująca własne dziecko, a potem usiłująca popełnić samobójstwo. Rozpustnikiem jest i Fiodor i Nawrocki, policjant.

Cień demona zbrodni i rozwiązłości przeniknął nawet nad dzieckiem Michasiem, budząc w czytelniku niepokojące przeczucia co do przyszłości tego chłopca.

---

1) Jerzy Andrzejewski „Ład serca". Powieść. Warszawa 1938. „Rój".

W rezultacie mamy cztery trupy, dwóch przestępców zostaje aresztowanych, a jeden bandyta oddaje się w ręce sprawiedliwości. Można więc powiedzieć, że powieść umiera z upływu krwi. Wszystko razem nosi tytuł: Ład serca.

To usuwanie bohaterów drogą wysyłania ich na tamten świat, należy do wad powieści. Zbyt wiele krwawych wydarzeń. Jest to prymitywny sposób robienia sensacji. Do owych okropności zdąża akcja i w nich się zamyka. Nad życiem Sedelnik zaciążył grzech śmiertelny. Ciężar tej atmosfery jest powiększony nieszczęściem. Wrażliwa wyobraźnia czytelnika słyszy w ciągu całej powieści jęki dwóch konających ludzi: Siemiona i Jabłońskiej. Autor usiłuje spotęgować nastrój grozy, wrażeniem jakiejś niesamowitej konieczności, kierującej światem. „Losy już zostały rzucone", powiada. „Nic nie odwróci ich niszczącej siły". Jednak jego łańcuch przyczyn i skutków posiada ogniwa wątpliwej mocy. Mechanizm bytu w „Ładzie serca" nie został zmontowany zbyt przekonywująco.

Metoda charakteryzowania osób i opisu ich działalności jest mało urozmaicona. Zbyt wiele miejsca zajmują rozpamiętywania przeszłości osobistej, anamnezje, wizje przedsenne i chorobliwe. Te wizje i przypomnienia przeżywa większość osób. Życie postaci powieściowych bywa zwykle, gwoli pobudzenia ciekawości czytelnika, ponad życiową normę intensywne i osobliwe. Nie jest atoli dobrze, jeśli zbyt wiele tych postaci zbliża się do granicy obłędu, zwłaszcza jeśli to ma być charakterystyka połaci kraju, zaludnionego, jak wiemy skądinąd, przez bądź co bądź normalnych ludzi. Zyskała by psychologia, zyskała by i forma artystyczna, gdyby autor oparł się pokusie przeładowania powieści okropnościami i wizjami. To są efekty, które nadużyte, tracą walor, przestają wstrząsać. W powieści Bernanos'a „Pod słońcem szatana" rozmowa księdza z diabłem wywołuje silne wrażenie. Ale byłoby nieco gorzej, gdyby podobny dialog powtarzał się w każdym rozdziale.

Powieść sensacyjna, nieoparta o historię, a więc czysto zmyślona, jest przedsięwzięciem, w którym autor ma znaczną swobodę komponowania. Jednakże „Ład serca" nie przedstawia ładu kompozycyjnego. Części są dobre i ciekawe, ale nie wiążą się w zwartą całość.

Akcja jest rozczłonkowana i w żadnym momencie nie zbiega się w jednym łożysku. Powieść, możnaby powiedzieć z pewną przesadą, jest szeregiem nowel, zachodzących na siebie, sklejonych dosyć niezręcznie. Autor powiązał swych ludzi w przeszłości, zgromadził ich, aby rozpocząć opowieść, w jednym miejscu, ale wynikły z tego tylko luźne, fragmentaryczne wydarzenia, które jaskrawo wybuchnęły i szybko pogasły. Mógłby tutaj wiele pomóc węzeł rodzinny, za mało wyzyskany. Osoby „Ładu serca" to przeważnie samotnicy: ksiądz, sierota, kobieta upadła, policjant kawaler, bandyta i t. d.

Autor kojarzy swych ludzi w akcji zazwyczaj parami. W powieści przeważają dialogi. Scen zbiorowych, akcji, w której by brało udział naraz kilka osób, niema prawie wcale. A przecież wiązanie wątków i dramatyczne gromadzenie ludzi stało się podstawą wspaniałego stylu kompozycyjnego Dostojewskiego, Sienkiewicza, Conrada...

Na Andrzejewskiego niewątpliwie znaczny wpływ wywarł Mauriac. Jest u obu autorów podobnego stylu uwertura wstępna. Jest ta sama wrażliwość — na potworności życia, są te same zainteresowania przeżyciami religijnemi i podobne rozsianie na kartach powieści refleksyj religijnych i moralnych. Jest opisywanie z upodobaniem tej sfery czynów, którą potępia prawo ludzkie i na którą czekają, skazujące wyroki Boskie. Jest także postać, naogół tragiczna, księdza proboszcza na prowincji, — i problem nawrócenia ciężkiego grzesznika.

Nawet podobnym stylem charakteryzuje Andrzejewski swoje sylwetki, że przypomnimy „ten sam zarys rozrośniętych ponad swoje siedemnaście lat ramion, to samo śmiałe osadzenie głowy, podobną zwięzłość zdobywczych bioder"...

Debiut powieściowy Andrzejewskiego wypadł dobrze. „Ład serca" wykazuje znaczne braki, jeżeli doń przykładać miarę arcydzieł. Jednakże powieść ta wyróżnia się korzystnie spośród tysiąca rozrywkowych wydawnictw „Roju". Jest utworem poważnym, zasługującym na wnikliwą krytykę i mimo wszystko — wytrzymującym ją.

Autor dysponuje nader ważną dla powieściopisarza umiejętnością interesowania. Dobrze rozumie życie i zabrnął dość głęboko w dociekaniach metafizycznych. Kształtuje swoją powieść na podstawie katolickiego poglądu na świat. Osnową życia, które opisuje, jest Bóg, pojęty po chrześcijańsku. On przeznacza, potępia, uzdrawia, wskrzesza łaską, powala — nieszczęściem. Jego myśl i wola nurtuje w duszach ludzi, nie pomijając ani dziecka, ani starca. Naprzeciwko wychodzi i podejmuje z Nim walkę — myśl i wola szatana.

Andrzejewski jest pesymistą. Niech go moce niebieskie chronią przed zbliżeniem się do ponurej drogi Mauriac-owskiej. Bilans moralny „Ładu serca" jest ujemny. Jedna owieczka zbłąkana wraca do pasterza. Ale dziesiątki innych z których autor zbudował swą powieść, błąka się po manowcach grzechu. Szatan traci duszę Morawca, którego ksiądz wydobywa z bagna moralnego.

Ale licho nie śpi. Stratę odbija sobie z nawiązką gdzieindziej, na co ksiądz nic poradzić nie może. Cóż, że jedno światło błyska, kiedy inne gasną i opowieść kończy się w mroku pesymizmu. Nic też nie wskazuje, że jutro w Sedelnikach będzie lepsze. Żaden kataklizm, żadne wyjątkowe okoliczności nie pozwalają uważać społeczności Sedelnickiej za anormalne ogniwo pokoleń. Nie ma horoskopów na to, że gospodarka Boska wyjdzie z kryzysu, że wątłe dusze, miotane namiętnościami, wzmocni łaska i w świecie zapanuje ład serca.

Andrzejewski ma nerw artystyczny. Umie idee wypowiadać poprzez indywidua, wystrzega się publicystycznego wykładu. Posiada zdolność tworzenia postaci, rozwija ich życie i myśli z konsekwencją i prawdą psychologiczną. Pisze stylem swobodnym, równym. Umie zaciekawiać, a niekiedy nawet niepokoi i wstrząsa.

TADEUSZ DWORAK

SIERPNIOWY KSIĘŻYC

Zastyga na skrzepłych policzkach
miesiąca srebrny piach...
Ja — zimna lunatyczka —
wychodzę samotnie na dach.
Włosy mi ścina przestrach,
wiatr przelata, cichy jak sówka;
nie skrzypi żadna deska,
nie ugina się żadna dachówka.

O zejdź po szklanej przestrzeni,
świetlisty w niemym przelocie,
na jedną chwilę na ziemię,
księżyca trujący pierocie!
Przez okno, prosto z pościeli,
widzę cię, jak żeglujesz po snach...
Do twojej kuszącej bieli
wychodzę skostniała na dach.

Niema w tobie żadnego uroku,
któryby nie był obcy:
cały z światła i cały z mroku
walisz odległym lodowcem.
Wiem, że stopię się razem z tobą
w lodowatych, świetlistych łzach...
...I wstępuję, jak się idzie do grobu,
tęskniąca, zziębnięta na dach.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Kosów Huculski, 15.VIII 38 r.

NA WIDOWNI

Żeby uniknąć nieporozumień. — Obowiązki narodowego publicysty. — O obiektywizm w polityce.

ZNOWU będę pisać o sprawach czeskich, a raczej na ich marginesie o pewnych zasadniczych celach i zadaniach publicystyki. Chodzi bowiem o to, że to co napisałem o księdzu Hlince w swojej ostatniej „Widowni" — nasunęło jednemu z pism, zgoła niepotrzebne, a mogące być źródłem wielu nieporozumień pytania. Żeby więc ich uniknąć — wdaję się w pewne wyjaśnienia — nie dla ważności samej sprawy, zgoła przecież błahej, ale dla ważności tego, co przy okazji da się poruszyć.

Sprawa bowiem odpowiedzialności jest jasna i prosta.

Przecież artykuł jest podpisany, stanowisko „Myśli Narodowej" znane. Znamy też powszechnie typ i charakter felietonu i te prawa, jakie on daje. Wystarczy więc chyba przypomnieć, że „Myśl Narodowa" jest pismem narodowem, „poświęconem kulturze twórczości polskiej" i, że artykuł, o którym mowa, nie był żadnym artykułem wstępnym, ale był drukowany jako „Widownia", a więc felieton redakcyjny, ale z natury swej i formy indywidualny. Ale tu kwestia dalsza i jedynie ważna wolnego zdania. Jesteśmy narodowcami, więc patriotami, pojmującymi swoje obowiązki wobec narodu i państwa jaknajbardziej czynnie. Obowiązkiem naszym jest zatem wszystkie swoje siły poświęcać pracy dla ojczyzny; ażeby ta praca była coś naprawdę warta, powinna być szczera i prawdziwa.

Zastanówmy się więc, jakie być mogą ściślejsze obowiązki narodowego publicysty i pisarza. Przede wszystkim jeden podstawowy — ciągłe pogłębianie swojej wiedzy i znajomości tematów, jakie się porusza. Dyletantyzmu, blagi, niesolidności przenigdy tu być nie powinno. Pisarz narodowy ceni swoje słowo i nadaje mu wagę czynu. Dba o to, by było ono zawsze pełne wagi gatunkowej i na wiatr nigdy go nie rzuca. Bo słowo tylko wtedy ma istotną wartość, gdy się czuje jego, że tak powiem pełne złote pokrycie. Tem pokryciem zaś, jest jedność życia pisarza z tem co głosi. Nie można czytelnikowi mówić rzeczy fałszywych, czy takich, którychby się nigdy nie zrobiło. Takie postępowanie jest pewnego rodzaju łajdactwem. I to słowo wcale nie jest za silne. Kłamstwo pisane jest stokroć gorsze od kłamstwa mówionego.

Narodowy więc publicysta nie może nigdy kłamać, a że musi ciągle pogłębiać swoją myśl i ciągle iść ku szczytom, więc musi być wolny. W tym sensie, że o prawdę, którą uważa za swoją i którą sam odkrył, musi walczyć. Zasada wodzostwa i posłuszeństwa partyjnego może obowiązywać w polityce i kwestiach taktycznych, ale nigdy w myśleniu i rzetelnej twórczości.

Wypływają z tego wszystkiego pewne konsekwencje. Pisarz narodowy służy sprawie z przekonania i nie może kłamać celowo, jak to tylokrotnie robią intelektualni więźniowie masonerii. Autorytety swoje ceni, ale jego ambicją nie jest niewolnicza interpretacja raz ustanowionego zakonu i wierne naśladowanie mistrzów, ale twórczy ciągły pochód wytkniętą przez nich drogą. Wielkość Dmowskiego i ten wspaniały dorobek jaki nam zostawia, nakazują właśnie jaknajwiększe staranie się o to, by literaturę i myślenie polityczne utrzymać nadal na tym wysokim poziomie, na jaki on je wydźwignął. A znowu jedyna droga do tego, to uważne i pilne badanie problemów i śmiała samodzielna myśl w ich rozwiązywaniu. Taka właśnie była myśl Dmowskiego i to jest metoda, którą nam przekazał. Tej metodzie winniśmy być wierni. Książki jego są szkołą poglądów, szkołą myślenia i drogowskazem, ale nie lekcją radosną do tego nauczania się na pamięć. Czas idzie naprzód i nasz obowiązek wobec Dmowskiego i naszego ruchu polega na tem, by nas ten czas nie zaskakiwał. Byśmy tak jak On, umieli rozplątywać coraz to nowsze zagadnienia, bez lękliwego oglądania się na wzory i podpory, choć w oparciu o wielkie autorytety i myślową spuściznę jego dzieł.

Więc teraz idźmy dalej. Pisarz narodowy z prawdziwej szkoły Dmowskiego pisze tylko o tem, na czem się naprawdę zna i pisze zawsze solidnie. Myślą przewodnią w tem jego pisaniu jest interes Polski i to daje mu właściwą miarę obiektywizmu w ocenie zjawisk. A wszelka stronność, wszelkie nakręcanie faktów, czy ich odgadywanie — jest mu najzupełniej obce. Jeśli wygłasza jakieś poglądy i wyciąga jakieś wnioski, to widać dlatego, że o ich słuszności jest jaknajgłębiej przekonany.

Przechodząc więc teraz do mojej osobistej sprawy — pozwalam sobie na nieco odmienne (bez najmniejszego zamiaru frondy) od władz stronnictwa zapatrywanie na Czechosłowację, wyłącznie dlatego, że swój pogląd na nią uważam za słuszny i, że został on mi podyktowany głęboką obserwacją zjawiska i ciągłemi nad niem studiami.

O sytuacji Angli, Francji, Włoch, czy Hiszpanii nigdy nie pisałem i pisać nie będę, choć to też bardzo interesujące, bo nie znam tych spraw na tyle. Znam natomiast sprawy Środkowej Europy, chodzi mi o ich rzetelne znawstwo w Polsce i chcę w miarę sił moich do tego znawstwa i należytego patrzenia na rzeczy — się przyczyniać. Dlatego piszę tu nawet takie słowa, które są czysto mojemi poglądami, chcę się w ten sposób Polsce przysłużyć. Te sprawy dla Polski są bardzo ważne i każda rzeczowa rzetelna o nich dyskusja jest bardzo pożądana.

Gdy chodzi o sprawy zagraniczne, obowiązuje ścisły obiektywizm, to jest patrzenie na nie bezstronne z punktu widzenia interesów Polski. Tego obiektywizmu w pisaniu się trzymam i czytelnicy moi sami to osądzić mogą. W artykule, który dyskusję wywołał, ten obiektywizm był także zachowany i jeśli znalazły się w nim słowa, które ktoś by mógł uznać za antyczeskie, to jest o tyle w błędzie, że jestem li tylko antyczechosłowacki, co się nie identyfikuje. Tak samo i tego, co napisałem tam o Węgrach, nie można uznać za czysto pro-węgierskie, bo pro-węgierski jestem w granicach interesu Polski. Korespondencje, jakie pisałem dla „Prosto z Mostu", i zajęte tam stanowisko wobec węgierskiego rewizjonizmu, są tego chyba wystarczającym dowodem. Jeśli chodzi o sprawy Środkowej Europy, Polska ma tu bardzo wyraźne i określone interesy — interesy bez mała żywotne i o tem pamiętać należy.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

PRZYPOMNIENIE

ZAJRZELIŚMY do rocznika „Myśli Narodowej" z r. 1928. O czem się pisało o tej porze? Z nr. 20 (z 15 sierpnia 1928 roku) przepisujemy taką notatkę:

„Na pogrzebie jednego z legionistów I brygady, ś. p. Jerzego Winiarza, przemawiał Andrzej Strug, senator z PPS. W mowie tej było takie zdanie:

„Żegnam Cię wiernie przyjacielu i bracie, jako przywódca Wielkiej Narodowej Loży, której wiernym byłeś bratem..."

Pierwsze to w Polsce jawne, chełpliwe przyznanie się masonerii. Widocznie „bracia" pewni są już siebie, mają Polskę w ręku. Mowę mistrza loży sen. Struga ogłosił „Głos Prawdy" [organ ideologii przewrotu majowego], w którym się ukazują wynurzenia najwyższych autorytetów Sanacji.

Organ żydowski „Nasz Przegląd", pozazdrościwszy Strugowi niedyskrecji, dorzuca chełpliwie i wyzywająco nowe szczegóły do organizacji masonerii w Polsce:

„Wiadomo wszak — pisze — że drugi senator PPS p. Posner jest wybitną figurą w masonerii (loża Wielkiego Wschodu). Dla informacji panów endeków dodamy, że honorowym prezesem tej loży we Francji jest prezydent respubliki Gaston Doumergue, honorowym protektorem angielskiej *free - masonry* jest *ausgerechnet* — książę Walii. Pole do akcji wyzwoleńczej zapowiada się zatem dla endecji dość szeroko. Mylą się jednak nieboracy prawicowi, jeśli przypuszczają, że PPS i sanacja to jedna loża. Możemy ich zapewnić, że tak nie jest: sanacja siedzi we własnej loży szkockiego obrządku. A żydzi znów gdzieindziej, mają bowiem Bnei-Brith".

„Wszystko to było prawicy oddawna wiadomem. Pisano już o Bnei Brith, a w związku z tą lożą o p. Sieroszewskim i Askenazym. Wiedziano od początku, w czyim ręku jest sanacja i dla czego i ku czemu zmierza to, co robi w Polsce, w czyim interesie. Potrzebne było tylko ostateczne zdekonspirowanie. Dziś wiadomo już całemu narodowi, jak rzeczy stoją"

Tak się pisało już w r. 1928. Ludzie przewrotu chełpili się swemi związkami międzynarodowemi. Charakterystyczne jest to, że żydzi co jakiś czas wywołują sposobność, aby wziąć udział w dyskusji antymasońskiej i wobec opinii publicznej zrzucić część odpowiedzialności z siebie na masonerię. Dziwnie wtedy są niedyskretni, wymieniają nazwiska, odwracają uwagę od siebie. Jak widzimy, „Nasz Przegląd" powtarza tę sztukę co dziesięć lat.

Oczywiście nie jest to zbyt lojalne, ale mogą sobie na to pozwolić wobec swoich niewolników. Co nam do lóż polskich — powiadają — my mamy swoją Bnei Brith... Tamte rządzą, porachujcie się z sobą, nie z nami.

Wielki twórca masonerii w Polsce, Szymon Askenazy, człowiek niesłychanej pychy, na parę lat przed śmiercią w rozmowie poufałej z przyjacielem ze świata masońskiego pozwolił sobie na szczerość. Tamten zapytał Askenazego z nienacka na pół żartobliwie:

— Niech mi pan powie nareszcie, czy pan należy do masonerii, czy nie.

A ten nie wytrzymał pokusy i odparł z pychą.

— Czy ja n a l e ż ę do masonerii to mniejsza, ale to istotniejsze, że masoneria odemnie z a l e ż y.

NAUKA I LITERATURA

ZMIERZCH CESARSTWA

TEMAT, którego się autor [1]) podjął, był niezwykle pociągający i ze względu na postać samego monarchy, ostatniego feudała na tronie europejskim, monarchy, który doprawdy wierzył, że ludy są jego własnością, któremu się wydawało, że jest najlepszym władcą dlatego, ponieważ jest najpunktualniejszym i najskrupulatniejszym w spełnianiu swych obowiązków monarszych — i ze względu również na samą monarchię, pewnego rodzaju dziwoląg w świecie pod względem ustrojowym. Chociaż więc — powiedzmy to odrazu — powieść ta biograficzna pozbawiona jest głębszych wartości literackich i artystycznych, a dodajmy, że tłomaczenie miejscami okropne („zabawa z ołowianymi żołnierzami" — wyraz „potrzebowski" tętni żargonem żydowskim, słyszałem go we Lwowie), to jednak z wyżej wymienionych powodów czyta się z zainteresowaniem a nawet z pewną korzyścią. I naokoło państwa i w samem państwie widzieli tę anomalię ludzie z wyjątkiem samego cesarza. Ze wstydem trzeba przypomnieć, że i niejeden Polak wierzył, czego dowodem może być choćby Leon Biliński, jak to z jego „Wspomnień" wynika, że niema idealniejszego władcy i lepszych dla istnienia Polaków ram jak państwo austriackie. Wyobrazić sobie, że równocześnie w Anglii królowa Wiktoria, też typowa mieszczanka na tronie, czynnie współ-

[1]) R. R e c o u l y: Franciszek Józef. Zmierzch Cesarstwa. Powieść biograficzna. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa 1937. Autoryzowany przekład H e l e n y H e l l e r ó w n y. Str. 200 + 8 ilustr.

działa w procesie przetwarzania się Anglii w światowe imperium. W Austrii panuje tymczasem absurdalna bezmyślność, którego krańcowym i doskonałym wyrazem, ba, symbolem, będzie sam cesarz.

Będzie on popełniał błąd za błędem, począwszy od wstąpienia na tron, będzie sobie dobierał ludzi fatalnych w dosłownem tego wyrazu znaczeniu (Aerenthal, Berchtold, Hoetzendorff), stanie się pionkiem i igraszką w rękach Prus, będzie chwiejnym i dwuznacznym sojusznikiem Rosji, będzie tracił wskutek tego prowincję za prowincją, aby doczekać się zmierzchu Cesarstwa. Cesarstwa nie uratuje rozbicie na dwa państwa wskutek t. zw. ugody z Węgrami (1867), owszem, kompromis ten stanie się początkiem końca monarchii naddunajskiej. Podczas gdy w Austrii triumf święci głupota usankcjonowana w najwyższej osobie, w Prusiech wzrasta genialny talent Bismarcka, a we Włoszech Cavour. Czyż mógł w paragon iść z takimi przeciwnikami starczy umysł Franciszka Józefa?

Jeśli chodzi o cesarza jako człowieka, podkreśla autor jego bezgraniczny egoizm, brak uczuć ludzkich; dla formy bezdusznej i ceremoniału gotów był poświęcić najbliższych i najdroższych. Dziwnie niezdolny do cierpienia, wszystkie tragedie, które go spotykają w życiu rodzinnem i państwowem, nie będą dochodziły do jego ośrodków uczuciowych, spłyną po powierzchni, nie wywołując oznak szczerego, ludzkiego cierpienia. Postać taka to wdzięczny materiał dla psychopatologa, a przecież te burzliwe tragedie w domu cesarskim były głęboko umotywowane splotem kojarzeń i związków małżeńskich, były wynikiem trybu anormalnego, nieludzkiego życia całych pokoleń. Ofiarą tych warunków padnie tragicznie cesarzowa Elżbieta, będąca również kwiatem wyrosłym na bagnie obu rodzin, swojej i habsburskiej, i dzieci cesarskie oraz bliżsi i dalsi krewni, mniej lub więcej zdegenerowani i niemoralni.

Zagadnienia te wszystkie oraz przemiany, które dokonują się w życiu „kochanych ludów", ma autor w swojej świadomości, ale przystępuje do nich w sposób prymitywny pod względem psychologicznym, a opracowuje je bez talentu literackiego. Tłumaczka, p. H. Hellerówna, jak to z początku zaznaczyłem, nie wywiązała się ze swego zadania poprawnie. O ileż lepsze i korzystniejsze wrażenie sprawia książka Cortiego poświęcona cesarzowej Elżbiecie. Burzliwe życie monarchini i cesarza czekają jeszcze na powieściowe ujęcie, książka Recouly'ego nie jest dostatecznem rozwiązaniem zagadnienia.

J. Św.

WIERSZE KOSSOWSKIEGO

WIERSZE Kossowskiego, [1]) z lat 1912—1936 przedstawiają dużą rozmaitość nastrojów i dążenia do własnej formy. Forma owa jest jeszcze nieco nieskrystalizowana, obraz nieraz załamuje się i rozwiewa, a porównanie staje w pół drogi. W treści przeważa nuta pesymizmu. Od pogodnego Boecklinowskiego obrazu na początku:

„Pamiętam kraj ów jasny, to morze olbrzymie
i ten firmament cichy, niebieski, głęboki,
pamiętam gaj oliwny nad brzegiem zatoki
i tę świątynię śnieżną..."

prawie natychmiast mierzchnie atmosfera zbiorku.

„Jest jaka wieczność? Czy też wszystko gaśnie,
jak blask piorunu, jak sen już prześniony?"

A ku końcowi gorzki, ironiczny i pełen bólu list do Pana Boga, podpisany „Twój człowiek", z myślą przewodnią, cytowaną jako motto na początku książki „Żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał w sercu swem" (Genezis VI 6.), jest chyba ostatecznym wyrazem poglądów poety. Bóg się pomylił, tworząc człowieka, a teraz nielitościwie odwraca się od cierpiącej ziemi, grożąc piekłem buntownikom. Ludzie przeto muszą siebie stopić na brylant i klęknąć przed sobą samymi. Jest tu oczywiście dużo romantyzmu i dekadentyzmu, ale jest nieco literackich tradycji w tej książce i prawdziwy ból i głęboka rozpacz. Autor zabłąkany nie traci męstwa, choć stracił wiarę. Stosunek do swej twórczości ma poważny. Autor naprawdę myśli i czuje dźwiękami i obrazami, jak poecie przystoi. Jednak to jeszcze nie synteza, nie bilans artystyczny. Prędzej ponure lub jaśniejsze impresje ze świata wewnętrznego, ilustrowane obrazami zewnętrznej rzeczywistości. Impresjonizmu i dekadentyzmu wogóle tu sporo. Nic dziwnego. Wiele wierszy powstało przecież w czasie Młodej Polski, to też nosi na sobie jego markę. Niektóre przypominają Kasprowicza, inne oblekają się w szatę wczesno-romantyczną, jak np. „Często wieczorem w zadumę zapadam". Jednak mimo wpływów, Kossowski ma swój własny ton, a nieraz bardzo piękne i zastanawiające obrazy i symbole (por. np. „Rozważ. Wieczorem to będzie w świątyni"). Książka wydana starannie.

HELENA RADZIUKINASÓWNA

[1]) M i e c z y s ł a w K o s s o w s k i. „C h ł ó d d r o g i". Warszawa—Zamość. Koło Miłośników Książki. 1937. Str. 111.

„SATURN" BIEGASA

JEŚLI się ma ochotę powędrować w kraje czystej fantazji, trzeba mieć na tę wyprawę ekwipunek odpowiedni: siłę wyobraźni, dar plastycznej wizji oraz słowa, aby tęcze stały się mostami, wiodącymi czytelnika w blaski przestworzy. „Saturn" Biegasa [2]) jest beznadziejną próbą takiej wycieczki. Wszystko jest w utworze chybione: dziwaczny język, mizerny pomysł metafizyczny, wcale nie rozbudowany i wiszący w próżni, słaba i nieuzasadniona akcja a nadewszystko nieistniejąca charakterystyka postaci. Nieporadność autora w operowaniu językiem pseudo-ezoterycznym wręcz humorystyczne daje efekty.

Można przeczytać dużo głupstw bez pożytku, ale i „bez bólu", jeśli styl jako tako zadowalnia. Ale cuda podobne jak: „I ja wrytmiam się magicznie w motoryczną atmosferę światła życia", „Będę czyhać w kamuflażach labiryntów na chytrego Ariana", albo takie oto oświadczyny przeduchowionych mieszkańców Saturna: „Huragany ciągot wrzących mnie rzucają w atmosferę twej karnacji", doprowadzają do śmiechu, ale pod koniec lektury — do cichej rozpaczy. Konflikt dramatyczny w tym przedziwnym utworze polega na walce króla Alikorda z tyrańskim mędrcem—magiem Arianem o wolność więzionych przez tego ostatniego innych mieszkańców planety. Przytem całe mnóstwo zwykłych uskrzydlonych obywateli jest ciągle na wolności. Co to wszystko znaczy i dla czego właśnie mag więzi swych pracowników w podziemiu, obciąwszy im skrzydła? Nie wiemy. „Nie pojmuję tej bezdennej krętaniny" — woła nieszczęsny czytelnik wraz z jedną z postaci. Dialogi dwóch wrogów groteskowe i słabe. Sceny dramatu są przeplatane opisami walk przedpotopowych zwierząt na tle fantastycznej przyrody. Też nie wiadomo po co. Czemu nie istnieje cenzura na głupie książki?

HELENA RADZIUKINASÓWNA

ZE ŚWIATA KULTURY I LITERATURY

Redakcja nasza odbiera listy z zapytaniem, skąd się wzięło nazwisko red. Z. Wasilewskiego w gronie osób nagrodzonych obecnie odznaką Złotego Krzyża Zasługi. Istotnie znalazło się ono w gronie przedstawicieli regionalnego Koła Kielczan (wychowańców szkół kieleckich). Odznakę tę otrzymali kielczanie: oprócz red. Wasilewskiego, prezes Koła Edward Zienkowski, dalej najstarszy z żyjących wycho-

[2]) B. B i e g a s „S a t u r n". Dzieje życia na planecie Saturna w ośmiu obrazach. Warszawa 1937. Dom Książki Polskiej. Str. 78.

wańców szkół kieleckich wiceprezes Macierzy Szkolnej Józefat Andrzejewski i obecny wiceprezes Koła dr. Jan Strożecki. Widocznie działalność kulturalna Koła znalazła uznanie kielczanina gen. Składkowskiego, a ponieważ w tej działalności sporo wysiłku Koło poświęciło wydawaniu „Pamiętnika", którego redaktorem był w latach 1925 — 1935 red. Z. Wasilewski, więc i jego spotkało odznaczenie Było ono niespodziewane, bo zasługa była zbyt mała, nie mniej nie można się od niego wymówić ze względu na solidarność koleżeńską, w imię której Koło było założone.

RUCH WYDAWNICZY

M. Jeżewska: „Podanie o Piaście". (Teatr Polski Żywej) Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

Zapoczątkowaniem literatury dramatycznej dla młodzieży jest między innemi pierwszy tomik z cyklu zapowiedzianych 12-tu, osnutych na tematach legendowych i historycznych Polski.

Jest to udramatyzowana legenda z czasów bajecznych naszych dziejów p. t. „Podanie o Piaście" pióra Marii Jeżewskiej.

Była ona grana przez Teatr Szkolny Reduty od marca 1936 r. do marca 1938 r., przyczem na widowisku tem było około 60.000 dzieci, młodzieży i dorosłych widzów.

Największą wartość tej książki — stanowi — oprócz pięknego literackiego języka, śpiewnego wiersza, prostych melodyjnych piosenek, to, że daje dzieciom i młodzieży zdrowy pokarm duchowy, treść etyczną i temat wyrastający z najgłębszego podłoża polskiej duszy.

*

J. Harabaszewski: „Jędrzej Śniadecki". Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa. Srr. 92. Zł. 2,40.

Rzecz pod powyższym tytułem poświęcona jest Jędrzejowi Sniadeckiemu, twórcy piśmiennictwa chemicznego, który pierwszy odważył się głosić oficjalnie naukę chemii w mowie ojczystej. Ukazuje się zaś w setną rocznicę jego śmierci.

Autor ograniczył swe zadanie do przedstawienia działalności Sniadeckiego, jako chemika; sylwetkę naszego chemika naszkicował na tle zgrubsza zarysowanego obrazu rewolucji chemicznej dokonanej przez Lavoisiera, twórcę nowoczesnej chemii ilościowej. Pracę swą autor przeznacza przedewszystkiem dla starszej młodzieży, dla przyszłych miłośników chemii, jednak i dojrzały miłośnik kultury ojczystej znajdzie w niej sporo nieznanego sobie, a ciekawego materiału.

*

Leży przede mną mała książeczka, od której bije jasność czystej, promiennej duszy ludzkiej, zagubionej wśród dzisiejszego zgiełku jarmarcznego. To „Rozważania" Stanisława Kasznicy (Poznań, 1935, św. Wojciech, str. 172 + 1 knlb.). Tryptyk to składający się z działów: „Jest...!" „Jednośmy", „Moc". Czyta się go z rozkoszą intelektualną dzięki pięknemu, pełnemu uroku i prostoty stylowi, ale i z zazdrością. To *anima candida*, pogodzona ze światem, ludźmi i Bogiem. To proza uduchowiona, to wyraz świetlaności duchowej. To wyraz świętości pojętej jak najbardziej nowocześnie t. zn. społecznie. Tylko w związku z bliźnimi uzyskuje się dzisiaj świętość, ba, społecznie, t. zn. umie wydobyć z dna dusz ludzkich jasność i boskie światło. Umie autor obserwować bystro, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi i ich stosunek do Boga. Nie złudzi go pozór, umie dotrzeć do istoty rzeczy. Czuje się mocny dzięki wierze, wiara ta jednak jest i wiedzą zarazem, którą się z trudem tylko i w mozole zdobywa. Należy ta proza do pereł prozy polskiej, moralistycznej. Czytając tę książeczkę, doznajemy uczucia, że człowiek obmywa się ze wszelkich zmaz i brudów żywota ziemskiego. Taka książeczka to czyn społeczny, gdyż przez jej czytanie dusza wzrasta moralnie i Boga wchłania w siebie. (J. Św.)

*

Emil Kuroński: „Położenie prawne ludności polskiej w Trzeciej Rzeszy". Katowice 1938 r. Str. 63. Polski Śląsk, nr. 34.

Najnowsze to wydawnictwo daje jasny obraz warunków prawnych, w jakich żyją Polacy w Niemczech po deklaracji polsko-niemieckiej z dnia 5 listopada 1937 r. Deklaracja ta podkreśliła znaczenie problemu mniejszości polskiej w Niemczech, nie usunęła jednak działania szeregu ustaw obowiązujących w Niemczech, które ostrzem swem zwrócone są także przeciwko mniejszościom narodowym. Autor przedstawia jasno, w jak trudne położenie stawiają Polaków w Niemczech takie ustawy, jak ustawa o zagrodach dziedzicznych, o służbie pracy, o redaktorach, o władzach bezpieczeństwa i t. d. Dopóki ustawy te dotyczą także mniejszości polskiej, nie będzie ona miała na terenie Niemiec elementarnych warunków możliwości rozwoju kulturalnego. Ciekawie ujęta i obficie udokumentowana ta praca winna zainteresować najszersze warstwy społeczeństwa polskiego

*

Józef Gołąbek: „Literatura serbsko-łużycka". Katowice 1938 r. Instytut Śląski, t. V. Str. 268.

Nowa praca znanego warszawskiego slawisty daje literaturze polskiej pierwsze obszerne opracowanie dziejów i rozwoju liturtury bratniego narodu Łużyczan. Autor nie mógł poprzestać na podawaniu faktów wyłącznie dotyczących literatury, lecz dla uzyskania należytego obrazu musiał wpleść dużo wiadomości z dziejów kulturalnych i społecznych Łużyczan. Praca dra J. Gołąbka przekonywa, że literatura łużycka nie jest zabytkiem przeszłości, lecz jest dorobkiem narodu, który chce żyć i rozwija się, mimo przelicznych trudności stawianych mu na drodze. Obszerna bibliografia i skorowidz ułatwiają korzystanie z książki, która będzie mogła niewątpliwie stać się jednym z najważniejszych źródeł dla poznania oblicza kulturalnego Serbo-Łużyczan.

*

Stanisław Pobóg: „Urzeczeni". Powieść. Warszawa 1937. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Początek powieści — to czasy po powstaniu 63 r., ale akcja rozwija się z pokolenia na pokolenie i oto sięga do Legionów i Polski Niepodległej.

Tytuł „Urzeczeni" można sobie tłumaczyć ofiarnością patriotyczną głównych bohaterów, z których czołowy—Adam Lutycki — powstaniec, emigrant, rolnik, wzorowy obywatel kraju, wzorowy ojciec, nieskazitelny charakter — przedstawia w sumie takie nagromadzenie dodatnich cech, że staje się nie do pomyślenia jako człowiek żywy. Jako typ wyidealizowany przypomina nam Michała Strawińskiego z „Listopada" Rzewuskiego.

Cała książka utrzymana w tonie dawnych powieści z końca XIX wieku: bohaterska, trochę sentymentalna; stereotypowe charaktery, dające nam możność przewidywania, co dany osobnik powie i jak postąpi.

Oczywiście, tworzenie postaci dodatnich jest znacznie trudniejsze niż negatywnych, ale jeżeli autor nie może wyjść poza szablon — powieść jego przestaje być zajmującą.

*

Madelon Lulofs: „Guma... guma". Romans z Sumatry. Przekład z holenderskiego Henryka Leśniewskiego. Książnica — Atlas, Lwów — Warszawa.

Dziś, kiedy się tyle mówi o koloniach, o ich potrzebie dla naszego kraju, książka niniejsza nie jest obojętna: wprowadza nas w wir zagadnień kolonialnych, kreśli żywy i prawdziwy obraz życia europejczyków w warunkach tropikalnych, w złej i wrogiej atmosferze ludności tubylczej.

Czyta się książkę z ciężkiem sercem: tyle smutku i beznadziejności jest w tym podboju kulturalnym terenów zamorskich, taka ciężka i jednostajna jest ta praca na plantacjach gumowych... Nic dziwnego, że tylko silniejsze charaktery mogą się utrzymać na wyższym poziomie moralnym. Większość powraca do kraju rodzinnego jako wykolejeńcy życiowi, ze zgubnemi nawykami nieporządnego życia kolonialnego, traktowanego przez europejczyków zawsze jako pewne prowizorium.

Akcja książki jest żywa i ciekawa, czyta się ją z wielkiem zainteresowaniem. Styl przekładu lekki, język poprawny.

NOWE KSIĄŻKI

Biblioteka „Życie doskonałe", nakładem Fr. Heroda, Warszawa — Długa 16, wydała książki następujące:

№ 1. Sabatowski A. doc. Życie doskonałe (w druku).
„ 2. Dąbrowski K. dr. Higiena psychiczna w życiu codziennem. Str. 32.

„ 3. Kalinowski Kazimierz. Świat chorych dusz a radość życia. Str. 30.
„ 4. Kozubski Zygmunt ks. dr. prof. U. J. P. Psychoterapia, jej istota i znaczenie. Str. 31.
„ 5. Bykowski Jaxa prof. Charakter i wola, ich istota i kształcenie. Str. 35.
„ 6. Muszyński Jan prof. U. Wil. Skarby lecznicze w przyrodzie. Str. 36.
„ 7. Loth Edward prof. dr. Człowiek przyszłości. Str. 27.
„ 8. Alksnin Mieczysław dr. med. Nowoczesne wodolecznictwo w świetle badań naukowych. Str. 31.
„ 9. Witanowski W. R. prof. U. J. P. Pokarm człowieka. Str. 40.
„ 10. Herod Fr. (zebrał). Myśli wzniosłe i pogodne (modlitewki). Str. 30.

Cena każdego egzemplarza 1 zł.

ZMARLI

Ś P. STANISŁAW SZOBER

UNIWERSYTET Warszawski poniósł wielką stratę: śmierć profesora Szobera jest ciosem nietylko ze względów naukowo - pedagogicznych, nietylko okrywa żałobą młodzież akademicką, której Zmarły był wiernym i wypróbowanym przyjacielem i opiekunem, ale i stwarza olbrzymią lukę w myśleniu nad językiem ojczystym, w trosce o jego dążenie ku wyższym formom wyrazu, w służbie prawdy i piękna.

Jak to dziwnie będzie teraz pomyśleć, że już nie ma profesora Szobera, bez którego — jak pamiętam z moich studenckich czasów — pusto chyba by było na wydziale Humanistycznym, tyle tam on wnosił inicjatywy i ruchliwej energii, nietylko wykładając i prowadząc seminaria, ale i przewodnicząc długie lata Komisji Egzaminów Magisterskich i tyle innych spełniając odpowiedzialnych i ważnych funkcyj, związanych z życiem uniwersytetu i młodzieży.

Pamiętam... po wykładzie, gwarno i rojno jak zwykle przed dzisiejszą reprezentacyjną aulą (wtedy i tam odbywały się wykłady), na schodach i koło zegara na półpiętrzu. Drobnym, szybkim krokiem wychodzi profesor i zdąża do sali posiedzeń senatu. Po drodze rzuca bystre, charakterystyczne spojrzenia sponad oprawnych w złoto okularów. Zwrócił widocznie uwagę na jakiegoś studenta, mizernie ubranego i smętnie zadumanego nad znikomościami świata, bo podszedł żywo do niego i pyta — A co to pan taki smutny? Co panu dolega? — Wziął go pod ramię i poszli we dwóch korytarzem. Student wrócił po chwili promieniejący. ...Dostał stypendjum. (prof. Szober miał duży wpływ z tytułu swego stanowiska na roździał stypendjów).

Albo inny epizod: w lokalu seminarium języka polskiego przy długich, wąskich stołach siedzą studenci. Wertują różnego kalibru gramatyki i odcyfrowują zawiłe teksty, pisane cyrylicą — albo jakieś nowsze już, staropolskie zabytki. W rogu pokoju przy stoliku siedzi profesor Szober. Przed nim kwiaty w wazonikach. Drzwi się otwierają. Wchodzi nieśmiało jakiś studencina z pierwszego roku. Powiedzieli mu, że tu się można uczyć. Ale, co i jak, dobrze nie wie. Profesor woła go do siebie, dostrzegłszy bystrem okiem pedagoga jego niezdecydowanie i pomieszanie. Poucza dobrotliwie, co robić należy, pyta, skąd pochodzi i w jakich się warunkach znajduje, wreszcie daje mu lekką admonicję, że zapewne przez nieuwagę zapomniał pozdrowić ukłonem przy wejściu starszego i w dodatku swojego profesora. (Świadkowie tego zdarzenia śmieli się po cichu do łez, a student bynajmniej nie był obrażony, przeciwnie, — doznał po raz pierwszy od chwili przyjazdu do obcego miasta miłego wrażenia, że go dostrzegają w tłumie).

Profesor Szober potrafił indywidualizować nawet w trakcie seryjnej produkcji magistrów, masowo wypuszczanych z Uniwerku na świeże powietrze. W tem pedagogicznem ujmowaniu płynnego żywiołu studenckiego leżał jego niespotykany naogół w tem środowisku, nieprzeciętny walor nauczycielski.

Ś. p. prof. Stanisław Szober urodził się 6 lutego 1879 roku. Uniwersytet warszawski ukończył w r. 1903. Studiował także i w Moskwie. Przed wojną był jednym z działaczy tajnej oświaty. Pracował jako nauczyciel gimnazjalny. Był czynnym członkiem T. N. S. W.

Z chwilą wskrzeszenia Uniwersytetu Warszawskiego objął katedrę języka polskiego i zorganizował seminarium językowe. Zwrócił należytą uwagę na studium fonetyki, niezbędnej przy racjonalnem nauczaniu gramatyki w szkołach. Profesorem zwyczajnym został w roku 1927. Po ś. p. prof. Wiktorze Porzezińskim odziedziczył w r. 1929 katedrę językoznawstwa indoeuropejskiego, także na warszawskim uniwersytecie. Przeprowadził wtedy gruntowne studia nad językiem litewskim, potrzebnym mu do należytego porównawczo traktowania akcentów tonicznych.

Miał szczęśliwą rękę. Darzyli mu się uczniowie. Niektórzy zajmują dziś wybitne miejsca w świecie uczonym.

Prócz licznych podręczników dla szkół (w bardzo wielu wydaniach), wydał podręcznik uniwersytecki „Gramatykę języka polskiego", bez którego, zwłaszcza w drugiem, rozszerzonem wydaniu, obejść się nie może żaden polonista. Napisał dużo rozmaitych rozpraw i szkiców językoznawczych. Wspomnijmy kilka ważniejszych: „Zarys językoznawstwa ogólnego", „Pisownia polska, jej uzasadnienie i prawidła", „Życie wyrazów" i tyle innych. Ostatniem wielkiem dziełem ś. p. prof. Szobera stał się jego „Słownik ortoepiczny", podręczny jakby leksykon poprawności i kultury języka z przeznaczeniem dla codziennego i powszechnego użytku.

Wykłady ś. p. profesora Szobera ściągały zawsze tłumy studentów. Niektóre z nich, jak np. „Znaczenie wyrazów", dawały przez swój polot myśli szczerą satysfakcję słuchaczom. Nawet wykłady dydaktyki języka polskiego, a więc z zakresu tylko wiedzy stosowanej, przykuwały uwagę do przedmiotu, traktowanego szeroko, w bogatych związkach z całością procesu tworzenia narodowej kultury.

I jeszcze jeden, na zakończenie fakt z życia profesora Szobera. Jako ochotnik wziął udział w wojnie polsko - bolszewickiej w r. 1920. Służył w 201-m p. a. p-ie. Walczył na froncie, na postojach napisał prześliczne dziełko o stylu w języku, jako zjawisku kultury. Odszedł na wieczną wartę...

St. J.

NA MARGINESIE

Dziesięć lat temu Polska pomajowa reprezentowana była w Lidze Narodów przez delegację złożoną z 18 osób, wśród nich 5 żydów i to na najważniejszych stanowiskach: obaj delegaci żydzi, kierownik referatu — żyd, sekretarz generalny i radca prawny żydzi. Poza tem oczywiście venerabilis dr. Chodźko, jakiś tajemniczy autorytet międzynarodowy.

Przypominamy o tem na marginesie, bo właśnie dyskutowano teraz w prasie o tem, komu zawdzięczamy ideologię majową.

*

W „Ilustr. Kurierze Codziennym" z 4 września rb. (nr. 244) znajdujemy taką wiadomość:

Ciężka katastrofa samochodowa

Na szosie Tczew — Gdańsk w pobliżu Tczewa uległ rozbiciu samochód hr. de Kohna, znanego na Pomorzu w sferach ziemiaśskich, zarządcy majątków płk. Miedzińskiego w Gołębiewku (pow. Tczew). Hr. de Kohna w stanie beznadziejnym przewieziono do szpitala.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.